ROK II. Nr. 14 (63) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem 6 kwietnia 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



1103-2/22

WIOSENNY MAZAGRAN. (fot. Metro).



OD REDAKCJI

Sto lat temu działy się w Polsce, i wogóle na świecie, niezwyczajne rzeczy. Lata 1830—31 należą do bardzo niespokojnych i bardzo pouczających. Wrze wszędzie — bunt myśli wolnej rozwija swe sztandary — gotują się i wybuchają gwałtowne czyny — płoną pożary rewolucji i wojen — a potem przysypuje wszystko szary popiół zniechęcenia i reakcji, a but ciężkiej, ślepej przemocy przyciska brutalnie przedewszystkiem naszą Ojczyznę.

Będziemy w listopadzie święcić setną rocznicę wielkiego powstania, świętego porywu narodu, który zdobył się na największe poświęcenia, — niestety, walczył bez słońca, gdyż walczył pod wodzą tych właśnie, którzy nie wierzyli w zwycięstwo nad wrogiem, walczył samotnie.

Chcemy więc, — w sposób zresztą lekki i nienużący — przypomnieć czytelnikowi polskiemu zdarzenia z przed stu lat, w tej myśli, że wszystkich to zainteresuje, i że, całość zważywszy, zgromadzi się poważny materjał, może nawet bardzo pożyteczny.

Otwieramy więc stałą rubrykę pod powyżej umieszczonym tytułem. Będziemy o niej dawać — dzień po dniu — wiadomości najrozmaitsze: ważne obok mniej ważnych, ale wszystkie oświetlać będą życie z przed stu lat; może tym sposobem osiągniemy pewną pełnię: pokażemy przeszłość w jej wydarzeniach wielkich i w szczegółach codziennych damy tło, na którem wyobraźnia odtwarzać może obraz żywy, który już dawno przeminął.

Oprócz tego — w miarę możności — dawać będziemy artykuły obszerniejsze, poświęcone wielkim dniom i wybitnym działaczom z przed owych stu lat. Będzie to uzupełnieniem historycznych notatek, i da czytelnikowi pewną, możliwie wykończoną, całość. Żywimy nadzieję, że całość ta wzbudzi nietylko zainteresowanie, ale i uznanie.

Opowieść o Polsce 1830—31 r. jest opowieścią o gasnącem słońcu i o narodzie dzielnym i ofiarnym, lecz walczącym bez wodzów, — o narodzie samotnym.

Duch narodowy polski, zgnębiony letargiem ospałych czasów saskich, wstrząśnięty później tragedją barską i kościuszkowską, ocknął się i zahartował w płomieniach napoleońskiej epopei, i mimo tragedji 1812 r. nie upadł, nie pogrążył się w rozpaczy — lecz starał się tworzyć podwaliny narodowego bytu w tych warunkach, jakie mu narzucono.

Historja t. zw. Królestwa Kongresowego jest dowodem nietylko żywotności i tężyzny Polski, lecz także bardzo jasno wykazuje znaczne nasze zdolności organizacyjne i niemałą umiejętność na wszystkich niemal polach zbiorowego życia. A że ostatniego (XVIII-go) wieku doświadczenie nieomylnie świadczyło o pierwszorzędnem znaczeniu *własnej siły*, przeto najpiękniej rozkwita wojsko i skarb. Generał Ignacy Prądzyński, tych niezwykłych lat czynny uczestnik i świadek niekłamliwy, tak o organizacji wojskowej opowiada: „...formacja wojsk regularnych szła... z czarodziejską szybkością, i skoro tylko Polacy mogli pozyskać jaki taki zawiązek siły zbrojnej, skoro wnet powstawały zbrojne ich szyki, cokolwiek mogli pozyskać czasu, osobliwie szczególniej przy formacjach artylerji i konnicy. Te dwie bronie, które w innych krajach długiego czasu i mozolnej potrzebują nauki do swego wykształcenia, zawsze u Polaków w krótkim czasie zjawiały się, jakby ze ziemi wychodziły. Następnie w ciągłem pasmie wojen, od roku 1792 począwszy, aż do roku 1831, a które w legjonach miały swój nieprzerwany ciąg, duch wojenny wyrobił się u Polaków tak, że ich postawił w tym względzie na równi z narodami najpoważniejszemi świata".

Duch walki i buntu, duch, który znieść nie mógł polskiej korony na skroniach rosyjskiego cara, doprowadził do wybuchu listopadowego. Naród i zasoby kraju do wojny były gotowe. Zabrakło jednak uzdolnionych i dla zwycięstwa przekonanych wodzów.

Celem szkiców, które tu kolejno zamieszczać będziemy, jest możliwie wszechstronne przedstawienie ludzi i kraju w roku pamiętnego wybuchu, oraz dość szczegółowa historja powstania. Zacznijmy od ludzi. Zaczniemy od tych, którzy kierownicze zajmowali stanowiska i najważniejsze odegrali role, a więc zaczniemy przedewszystkiem od tego, który w Polsce był przedstawicielem cara i Rosji, i którego złowrogi cień padł na cały kraj, a szczególniej na jego zbrojne ramię, na ukochane wojsko. Mówimy tu o Wielkim Księciu Konstantym.



Portret Wielkiego Księcia Konstantego w wieku młodzieńczym.

1.

Jego życie, jego charakter, jego postawa — to najdziwaczniejszy splot tragizmu i komizmu, wielkoduszności i okrucieństwa, wzlotów i upadków, czynu i lęku przed czynem. Odegrał więcej niż wybitną rolę w historji Rosji i Polski, był rycerzem, wiernym danemu słowu, był podłym i szlachetnym, mężnym i tchórzem, i wbrew zapewne swym najtajniejszym chęciom budził wszędzie grozę i nienawiść.

A przecież kiedy się rodził, jako następca potężnego tronu rosyjskiego, huczały dźwiękiem radosnym tysiączne cerkiewne dzwony, grzmiały setki dział, sypały się, jak z rogu obfitości, hymny i panegiryki, a despotyczna Katarzyna II wydawała uroczyste manifesty. Wszak miał zostać władcą wskrzeszonego państwa bizantyjskiego, lub też greckim carem, wszak rodził się w słońcu mocy, która na tej ziemi za niewzruszoną się miała. Na jego utrzymanie, jako niemowlęcia, asygnowano olbrzymią na owe czasy sumę 47.433 rubli rocznie, i wybito medal i wydano manifest, który mówił, że nowonarodzony przeznaczony jest do utwierdzenia i rozszerzenia sławy rosyjskiej.

Katarzyna II wielkie układała plany. Wskrzeszenie państwa bizantyjskiego, lub założenia nowego państwa greckiego — oto była treść jednego z tych planów. Nowy wielki książę otrzymał imię Konstantego, przedewszystkiem dlatego, że takie było imię założyciela Konstantynopola, i takie samo ostatniego panującego z domu Paleologów, który zginął w ostatecznej walce z Turkami. Plany carowej rychło stały się głośne. Ambasador angielski donosił o tem swemu rządowi a rychło potem Potiemkin, urządziwszy wielki bal na cześć nowonarodzonego, urządził go tak, że nowy plan Katarzyny dla wszystkich stał się jasnym. Wszystko na tym balu urządzone było na wschodnią modłę, chór śpiewał po grecku, a nawet jakaś grecka delegacja złożyła hołd śpiącemu w kołysce dziecku. Ta „grecka linja" zatrzymaną została i nadal. Malec otrzymał piastunkę-greczynkę, Helenę, a pierwszym później jego dworzaninem był również grek, Kuruta. Towarzyszami dzieciństwa Konstantego, a później i jego młodości, byli również grecy, tak, że wreszcie wielki książę zupełnie dobrze opanował język grecki, i jął przywykać do myśli, że niedługo zasiądzie na nowym tronie wschodnim.

Plany te, jak wiemy, nie zostały urzeczywistnione, jak jednak były silne świadczy fakt, że jeszcze w roku 1792 Chrapowicki pisał: „Suworow i Mordwinow marzą tylko o wzięciu Konstantynopola; turcy niewątpliwie uciekną, pozostanie zaś 300.000 greków, i oto mamy państwo wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza".

Przeznaczając wnuka do odegrania wielkiej historycznej roli, Katarzyna II zajmowała się osobiście jego wychowaniem, odbywając ustawiczne narady z N. I. Paninem, jako głównym wychowawcą. Wychowawców głównych wielkiego księcia było potem wielu, nauka jednak nie przekroczyła, że tak powiemy, żadnych nadzwyczajnych granic. Ciekawe są jednak „raporty" o postępach w nauce wielkiego księcia. Dowiadujemy się z nich, że Konstanty był uczniem złym i niecierpliwym, że np. jeszcze w roku 1789 (w którym ukończył dziesiąty rok życia) czytał zupełnie słabo, jąkał się i mylił, wszelkie wiadomości plątał, i tylko wtedy można było z niego cośkolwiek „wydusić", kiedy był spokojny i uważny, co się jednak niesłychanie rzadko zdarzało. To samo mniejwięcej czytamy w raportach za rok 1791, w roku zaś 1794 dowiadujemy się, że wielki książę wogóle uczyć się nie chce, że postępy jego w nauce są właściwie żadne, lenistwo niezmierne, a rozmaite postępki wprost „nieodpowiedzialne". Dziki, gwałtowny charakter już wtedy zwolna się kształtował. W. Książę wybuchał niespodzianie, niespodzianie się zamyślał, rzadko kiedy umiał skupić uwagę na jednym przedmiocie i nie znosił najmniejszego przymusu, najdrobniejszych więzów. Podobno miał „złote serce", lecz o czynach tego serca lub choćby odruchach, nie znajdujemy ani słowa w urzędowych raportach.

W roku 1796 wielkiego księcia ożeniono. Swoim zwyczajem Katarzyna II wybrała na wielką księżnę jedną z „drobniejszych" księżniczek niemieckich, sprowadziła ją do Petersburga wraz z matką, i w niedługim czasie rzecz była dokonana. Młodym wyznaczono dwór i pensje, marszałkiem dworu mianowano pułkownika, księcia Borysa Golicyna i kazano żyć. Żyli. Niedługo zresztą umarła Katarzyna II-ga, i na tron wstąpił ojciec Konstantego, car Paweł. Wszystko się zmieniło. Car Paweł odniósł się do synów z chętną ufnością, znacznie polepszył położenie ich materjalne, mianował ich dowódcami pułków gwardji, i otoczył ojcowską miłością.

(Dokończenie na str. 16-ej).


Kościół św. Pawła.

KAZIMIERZ KUKUCZ.

SAMPOL

Paryż, w marcu.

Wy może nie wszyscy jeszcze wiecie, co to jest Sampol.

Trzeba pójść i zobaczyć go — ten Sampol, gdy się jest w Paryżu... Sampol — dzielnica Świętego Pawła—Saint Paul—Sampol—Sami Polacy.

Z pod Notre Dame zapuścimy się w kręte, stare uliczki, trochę w górę Sekwany, potem skręcimy na lewo przez most świętej Genowefy z wysokim, bardzo wysokim, białokamiennym posągiem tej świętej, która ongiś przed tysiącami lat uratowała swoimi modłami Paryż od Hunnów, a teraz zapatrzona jest w wodę, co płynie jak czas; przejdziemy tuż obok Bibljoteki Polskiej, dziś odnowionej i bielą swych murów połyskującej w słońcu; potem jeszcze jeden most, bo tu jest wyspa świętego Ludwika i wreszcie Sampol — prościutko przed nami.

Właściwie Sampol jest to jedna wąska, dość długa ulica z przyległościami, ulica stara, pamiętająca jeszcze chyba czasy Lutecji, dość brudna jak cała naokoło dzielnica, zajęta w lwiej części przez sklepy, bary i szynki, których szyldy mieszają nazwy francuskie z polskiemi. Z jednej strony przylega do Sekwany, a wylot swój zwraca ku wielkiej przecznicy i ogromnie ruchliwej arterji komunikacyjnej — rue Rivoli.

Ulica jedna, ale pod dwiema nazwami: Nonnais d'Hyeres i Fourcy. Tutaj w restauracjach, barach i kawiarniach polskich, u Rembelskiego, Jana, Józefa, Dąbrowy, Nowaka, Rocha i t. d. gromadzi się polski świat emigracji Paryża.

W całej swej długości wąska ta ulica gwarna jest, ruchliwa i cała albo prawie cała — polska, zwłaszcza w dni świąteczne.

Trzeba oglądać sampol w sobotnie popołudnie albo w niedziele. Wtedy tu zjeżdża się, kto żyw, odwiedzić, zobaczyć, pogadać z rodakami i pospołu przepić kolejkę.

Cała ta miniaturowa Polska sejmikuje tu i prawuje się, weseli się i smuci, sama dla siebie i sama w sobie, rzucona przez zbieg okoliczności, dziwny przypadek — los w dżunglę miljonowego, obcojęzycznego miasta.

Dlaczego właśnie tu, a nie gdzieindziej? Może powie nam to... Rembelski, udzielny dziś pan na Sampolu, wodzirej jego i twórca. Właściciel księgarenki, kiosku z gazetami i... szynku. Akurat przed dziesięciu laty, któregoś tam dnia osiadł tu i zaczął sprzedawać gazety. Emigranci chodzący do pobliskiej Opieki Polskiej zaczęli się tu zatrzymywać, wstępować po gazety, nowiny lub plotki. Potem zaczęli przychodzić do niego „na kolejkę". Potem inni, nie w ciemię bici, poczęli go naśladować i otwierać — ten restaurację, tamten kawiarenkę lub sklepik, wypierając powoli „tubylców". I Sampol powstał, a Rembelski — podejrzewam go mocno — ma tam dobrych kilka franków odłożonych na bok.

Konkurencja Janów, Rochów, Józefów nie zaszkodziła mu tam wiele. U niego zawsze ciżba. Leje się czysta i zakrapiana, naprzemian z winem. A Rembel króluje za niewielkim bufetem, nad którym wiszą połcie słoniny, polskiej kiełbasy i kiszki, leje w szklanki, liczy pieniądze, wydaje, zgarnia. Wszystko widzi, wszystko słyszy, o wszystkiem wie, we wszystkiem zabiera głos, wszystkich traktuje per ty, z każdym przepije, policzy mu za siebie. Cwany, jak mówią w Warszawie.

To nic... To jest niezrównany typ — ten Rembel cały. Młody jeszcze... chyba niema czterdziestki... wysoki i postawny, o twarzy czerwonej od iluś tam hektolitrów wypitego alkoholu, o oczach chytrych i ruchach gwałtownych. W swojej historycznej już „pyjamie" — chałacie, który stanowi całą jego „liberję", wygląda niezdecydowanie, — między dniem a nocą, jak wogóle niezdecydowanym jest „zakład" i zawód tego człowieka. Jego księgarenka i jego szynk stanowią całość. Oddziela je tylko maleńkie podwórko, a Rembel z niesłychanym impetem przerzuca się nieustanie z jednego „oddziału" na drugi.

Dzieląc swój czas i swoje zamiłowania między wyszynk i... książki, Rembelski sam nie wie, kim jest: czy pochodnią oświaty, siewcą zdrowego ziarna, tytanem słowa drukowanego na Sampolu, czy trucicielem, rozpijaczem, pijawką, demagogiem; Czy jest filozofem — perypatetykiem, czy stuprocentowym okazem przemyślnego „petit bourgeois"; czy jest poetą... pijącym, czy pijakiem, któremu poezja uderza do głowy. Bo gdy mu oko zbieleje od alkoholu, dziwne rymy układają mu się na języku.

Nasz Rembel ma autorytet nadzwyczajny w swoim zakładzie. To trzeba mu przyznać. Wszelkie kłótnie lub rękoczyny poskramia w zarodku... perswazją, kpiarskim docinkiem, a jak nie, to gromem, kaskadą słów straszliwych. Przy kieliszku, jak to przy kieliszku, toczą się dysputy gorące, o polityce najczęściej... o tem, jak tam w Polsce. Zdarzy się, że jakiś komunista — z tych co to ulegli agitacji francuskiej w „czerwonym pasie" przedmieść Paryża — podniesie głos. Rembelski swoim ochrypłym basem przywołuje go do porządku. Dyscyplina u niego, jak się patrzy.

Jego klijentela to najdziwniejszy i różnorodny świat emigracji: stateczny, dobrze usytuowany robotnik — arystokrata spotyka się tu z biedakiem, rozbitkiem życiowym, napróżno uganiającym się po wszystkich Amerykach za swojem szczęściem. Przeważają typy młode, zdrowe, mocne w garści i szerokie w barach, bo wiadomo — na emigrację idzie materjał najtęższy. Ale zaglądnie tu i dziwny jakiś starowina o zacięciu filozofa-wioskowego organisty. Widać, że los był niełaskaw dla niego, ale był czas, gdy mu się dobrze wiodło, bo chętnie rozpamiętuje przeszłość. A potem różne, różne inne jeszcze typy. Spokojny pijaczyna Boży narówni wyciąga tu rękę po kieliszek z zawadjaką, poszukiwaczem awantur i zwady.

Rembel to jest właśnie Sampol... Sampol niespokojny, zawadjacki, ale gościnny; Sampol zamykający się w sobie, uciekający od samotności wśród obcych do ruchu, gwaru i atmosfery między swoimi; Sampol zalewający alkoholem robaka tęsknoty za krajem; Sampol — sceptyk, Sampol nieufny już nikomu, niewierzący już w nic albo w mało co.

Sampol nie mógł nie powstać. Musiał zaistnieć i niema w tem żadnego dziwu dla tego, kto wczuje się w położenie samotnego emigranta, dopiero co oderwanego może od swoich, od rodziny, a nagle zagubionego w pustyni obcego, niezrozumiałego, ogromnego miasta.

W latach 1926 i 27 Sampol miał bardzo złą opinję z powodu Władka - srogiego bandyty, który zginął na gilotynie w Paryżu. Władek - Zinczuk był twórcą legendy o „bandytach polskich" we Francji. Jego stopa przemknęła tędy niejeden raz. Jego cień błąka się tu jeszcze, gdy dojdzie do jakiejś burdy zakończonej strzelaniną i sążnistym tytułem w gazetach paryskich: „Strzały na Sampolu". Ale Sampol nie jest winien, gdy jego gościnności nadużyją. Przyjmuje każdego, nie pyta skąd i kto zacz. A zresztą to już przeszłość raczej niż dziś.

Ale Sampol to nietylko tych kilkanaście polskich barów, sklepów i szynków; nietylko ten polski gwar rozbrzmiewający tu wszędzie naokoło na ulicy, zrzadka przecinany francuszczyzną; nietylko te snujące się tu bez przerwy postacie naszych rosłych, dorodnych Antków i Wojtków z pod Warszawy lub Krakowa; i nietylko te wołania „Mamo, mamo" dzieciarni do matek, prowadzących tu w niedzielę swoje pociechy za rękę. Sampol to jeszcze co innego.

Dokończenie na str. 16-tej).



Księgarnia popularnego Rembela na Sampolu.

Współczesny genjusz finansowy

Dnia 1 grudnia 1810 roku, marynarz transportowca węglowego, niejaki Mateusz Stinnes, kupił w Milhuzie, za 1240 talarów, barkę węglową na rzece Rurze, oraz skład węgla na wybrzeżu. Ten drobny fakt z codziennego życia, nie zwróciłby niczyjej uwagi, gdyby nie to, że owa barka stała się zaczątkiem olbrzymiej fortuny domu Stinnessów. Młody Mateusz, wziąwszy do pomocy swego brata, pożyczył od krewnych trochę grosza i założył własny interes przewozowy. W ciągu następnych dwuch lat przewozi on węgiel, na własne ryzyko, wzdłuż Rury, następnie wypływa na Ren, aż wreszcie, dzięki swej nieustannej pracowitości, a również wyjątkowemu szczęściu, staje się jednym z poważniejszych handlarzy węglem w rodzinnej Milhuzie.

Wojny napoleońskie, które w tym czasie rozgorzały na terenach okręgów węglowych, utrudniają Stinnesowi prowadzenie przedsiębiorstwa po równej linji. Ciężka biurokracja francuska kładzie swą rękę na barki węglowe, używając ich do przewozu materjału wojennego. Wreszcie nawała wojenna przewala się bardziej na południe, a Mateusz Stinnes staje się dostawcą wojsk króla pruskiego, dowożąc broń, amunicję, środki żywności i inny sprzęt żołnierski. Będąc człowiekiem rzutkiego umysłu i niepoślednich zdolności, Mateusz Stinnes, podejmuje się budowy mostu pod Düsseldorfem oraz kościoła katolickiego w temże mieście. W roku 1820 firma Mateusza rozporządza już flotyllą rzeczną, złożoną z 66 okrętów. Nadchodzi nowa fala biurokratyzmu państwowego; tym razem jednak kasuje wszelką prywatną żeglugę na rzekach. Mateusz jednak przerzuca się natychmiast z wody na ląd, zamieniając swoje przedsiębiorstwa z handlarza węgla na producenta węglowego. Gdy w roku 1845 umarł, pozostawił swym trzynaściorgu dzieciom 36 kopalni węgla, wartości wielu miljonów marek.

Jak się to zwykle dzieje po śmierci ojca, dzieci podzieliły pomiędzy siebie całą spuściznę. Olbrzymie doniedawna przedsiębiorstwo, rozpadło się na drobne działki, rywalizujące pomiędzy sobą o rynki zbytu. Spadkobiercy Mateusza, nie spoczywali jednak na laurach swego ojca. Każdy z nich pomnażał skrzętnie swoją fortunę. Jednakże żaden z nich nie odziedziczył po ojcu przedsiębiorczego umysłu, któryby zdolny był do stworzenia jakiegoś wspólnego koncernu. Dopiero w drugiem pokoleniu zjawia się genjalny talent organizatorski, w osobie Hugo Stinnesa, syna najmłodszego z trzynastu sukcesorów Mateusza.

Hugo Stinnes, osierocony dość wcześnie przez swojego ojca, miał od samego początku w swej krwi żyłkę „cygana-przedsiębiorcy". Typ człowieka, zresztą bardzo rzadki, który nie potrafi pracować tylko w jednym kierunku, a nieustannie szuka nowych warsztatów pracy, które, związane ze sobą wspólną zależnością kapitału i produkcji, tworzyłyby koncern wszechstronnie obejmujący przemysł we wszystkich jego gałęziach. Młody Hugo zakłada przedsiębiorstwo pod nazwą „Towarzystwo Handlowe Hugo Stinnes", z kapitałem zakładowym 12.500 talarów i zaczyna skupować działki węglowe wzdłuż całego zagłębia Rury.

Pierwszym interesem, w którym pokazał Hugo swój „lwi pazur" sprytnego finansisty, było przeprowadzenie sanacji w Reńsko-Westfalskich Zakładach Elektrycznych, które, wybudowane na jego terenie, tak zwanym „Viktoria-Matthias", zasilały prądem elektrycznym miasto Essen i wszystkie przedsiębiorstwa, rozsiane wzdłuż Rury. Zakłady elektrycz ne stały nad brzegiem przepaści finansowej, a co za tem idzie, groziły katastrofą fabrykom w razie krachu. Hugo Stinnes, łącznie z dyrektorem darmstadzkiego banku, Bernardem Dernburgiem, wypuszcza olbrzymią masę akcyj zawiązanego przez siebie towarzystwa „Niemiecko-Luxemburskiego" uzyskuje w ten sposób kapitały, ratujące Zakłady Elektryczne; mało tego, skupuje cały kompleks hut i kopalni węgla, przyłącza je do towarzystwa i w ten sposób zagarnia w swoje ręce cały ciężki przemysł, którego kapitał stanowi przeszło sto miljonów marek. Prywatne dochody Stinnesa wynoszą już wtedy 3 miljony rocznie. Jest on po Auguście Thyssen, najbogatszym i najpoważniejszym finansistą i fabrykantem w okręgu Rury.

Nie zaniedbuje jednak przedsiębiorstwa, które założył jego dziadek Mateusz. „Towarzystwo Handlowe Hugo Stinnes", zajmujące się transportem węgla na wielką skalę, posiada swoje oddziały w Genui, Tryjeście, Zurychu, Brukselli, Paryżu, Rouen, Cardiffie, Glasgowie, Hull, New Castle i Rydze. Flota węglowa żegluje nietylko po Elbie, Rurze i Renie, ale wzbogaca się sześcioma transportowcami morskiemi.

Wybuch wojny europejskiej zastaje Stinnesa już jako multimiljonera. Będąc człowiekiem przewidującym, na parę dni przed wypowiedzeniem wojny wydaje rozporządzenia wszystkim swoim filjom zagranicznym, wycofania natychmiast wszystkich kapitałów oraz rezerw z banków. W ten sposób uniknął on strat, które mogłyby zachwiać potęgą finansową „kupca z Milhuzy" — jak go popularnie nazywano. W roku 1915, proponuje on Hindenburgowi, a następnie Ludendorfowi objęcie zwierzchniego kierownictwa nad całym ciężkim przemysłem, pracującym intensywnie tylko w kierunku potrzeb armji. Nie wskórawszy jednak nic w tym kierunku, proponuje niemieckiemu sztabowi generalnemu pomoc na terenie zagranicznym. Udaje się mianowicie, wraz z synem, do Szwecji, skąd dostarcza potrzebnych wiadomości sztabowi. Ta działalność „dyplomatyczna" nie przeszkadza Stinnesowi założyć w Szwecji filij swoich niemieckich przedsiębiorstw na których czele stawia swojego syna.

Tocząca się wojna nie przeszkadza jednak Stinnesowi do konsekwentnego przeprowadzania swych zaborczych planów względem przemysłu, we wszystkich jego gałęziach. Zakupuje w Lausitz dobra rycerskie wraz z olbrzymiemi lasami, w których zakłada smolarnie i gdzie rozpoczyna na wielką skalę produkcję węgla drzewnego. Uzyskuje przewagę akcyjną w Towarzystwie Kopalń Węgla Brunatnego w Neurath oraz w „Prinzessin Viktorja" w Grevenbroich.

(Dalszy ciąg na str. 16-ej).



Mapa Europy z rozsianemi fabrykami koncernu Stinnesa, obejmującego wszystkie gałęzie przemysłu.



Mateusz Stinnes, „Stary węglarz", założyciel późniejszej fortuny.



Hugo Stinnes, genjalny finansista i przemysłowiec.

Pod adresem bezbożników

Tym razem ,poza tytułem, słowem nie wspomnę o naszych sąsiadach z za czerwonego kordonu. A jeśli w moim artykule, utrzymanym w charakterze czysto historycznym, dopatrzą się pewnych analogji — to już trudno... Nic na to nie poradzę..

Działo się to w strasznym roku 1793. W skasowanym klasztorze Kapucynów pod Nantes internowano 600 księży, którzy oparli się złożeniu przysięgi na wierność rządowi. Nie długo ich przetrzymywano. Jednych zesłano do Hiszpanji, drugich do Kajenny, pozostało jednak około setki więźniów — staruszków lub chorych, których nie można było ruszyć z miejsca. Kilka razy wprawdzie zmieniano dla nich locum, przeznaczając nawet na letnią „rezydencję" barkę zakotwiczoną w porcie — władze miejskie wszelako podnosiły coraz energiczniejsze protesty przeciw dalszemu internowaniu na ich koszt opornych duchownych— i należało znaleźć wyjście z sytuacji.

W tym samym czasie, prrzybył do miasta słynny ze swego okrucieństwa siepacz ze stolicy, Carrier. Wnet zdecydował się. Na barkę. Mimo chłodów jesiennych. Miasto zwolnił z obowiązku wyżywiania internowanych. Niech sobie radzą.

Biedacy! Pomyśleć tylko, że wśród tych ofiar był 80-letni O. Kapucyn, Hermoran; nie młodszy od niego, ks. Lemercier, ks. Fleurian, liczący lat 79, ks. Degart — 78 lat, kilku inwalidów, którzy tylko o kulach mogli się zwlekać z miejsca na miejsce... Biedni. Wynędzniali. I jeśli, pozbawieni wszelkich środków, nie umarli z głodu, to zasługą jest wyłączną kilku odważnych obywateli, którzy z narażeniem życia dostarczali im po nocach trochę pożywienia.

Lecz władze nie zasypiały sprawy. Oto zaufani Carrier'a — Foucand i Lamberty przygotowują im nową barkę, którą ekwipują specjalnym sposobem.

Pewnej głuchej nocy nowa barka przybiła do pływającego więzienia księży. Zarządzono przeniesienie. Celem sprawdzenia, czy nie posiadają broni (?) poddawano ich indywidualnej rewizji i przy sposobności odbierano każdy przedmiot, mogący mieć jakąś wartość — zegarki, pierścionki, krzyże.

Nie było rady. Przemoc...

Podniesiono kotwicę. Barka popłynęła z prądem — ku morzu. Wnet już szerokie wody.

Wtem nieszczęśni skazańcy słyszą odgłos młotów. Po chwili woda przenika do wnętrza barki. Coraz wyżej — a z łodzi, płynącej tuż obok, rozlega się śmiech sprawców tej straszliwej zbrodni.

Jeszcze chwila... Barka tonie... Tu i owdzie płyną biedacy, walcząc z wartkim prądem rzeki. Lecz chociaż i tak los ich jest przesądzony, z łodzi, wiozącej zbirów, delegowanych do tej misji, rozpoczyna się polowanie na niedobitków Bosakami, wiosłami — na zimno, bez litości. I wkrótce wszystko już skończone — łódź katów odpływa ku miastu.

Carrier wysłuchał raportu z zadowoleniem. Zdawało się, że nikt poza wtajemniczonymi, nie dowie się o zbrodni. Barka odpłynęła w niewiadomym kierunku.

Okazało się aliści, że czy to wskutek słabości zatopionej barki, czy to wskutek rozbicia się jej o twardy pokład mielizny — kilka trupów spłynęło z biegiem rzeki i zostało wyłowionych przez marynarzy.

Nikt jednak, z obawy przed terorem, nie protestował.

Carrier mógł z całym spokojem donieść o tym fakcie władzom centralnym.

Trudno dać wiarę, aby w tych warunkach ktośkolwiek ze skazanych mógł ocaleć. Cudem niemal udało się uniknąć śmierci jednemu z księży, ks. Landeau, z parafji St. Lyphard, który będąc doskonałym pływakiem, znacznie oddalił się od barki i w jakiś czas później, w tej samej chwili, gdy resztki sił go opuszczały, został wyciągnięty z nurtów przez rybaków.

Parę lat życia, które dzięki temu zyskał, były mu wprawdzie tak strasznemi, że bodaj lepszą była śmierć w Loarze. Steroryzowani mieszkańcy okolicy, mimo popularność, jaką powszechnie cieszył się, ze strachem udzielali mu noclegu i nieszczęśliwy kapłan nie doznał już nigdy spokoju. Wędrując od wioski do wioski, nocując nieraz w polu, o chlebie i głodzie, dotarł do swojej parafji. Lecz i tu nie mógł pędzić normalnego trybu życia. Zdając sobie sprawę z doniosłości swego posłannictwa, gdyż jedynym był kapłanem na całą okolicę, nie zaniedbywał duszpasterskich obowiązków. Przytułkiem mu był stóg siana, z którego w nocy tylko wychodził i komunikował się z wiernymi.

Niejednokrotnie natykał się na patrole wojsk rewolucyjnych, które dokonywały obław lub na oddziały, wysyłane dla rekwizycji żywności. Życie jego wisiało na włosku...

Po sześciu latach tej nędznej tułaczki, przeniósł się do wieczności.

I chociaż wiek zgórą już minął od tego czasu i wiele wydarzeń do głębi dotknęło tę okolicę kraju, dotychczas jeszcze przetrwała pamięć o nieszczęsnym kapłanie. *Er.*

Z WYDAWNICW LOTNICZYCH.

Ukazał się 3-ci bogato ilustrowany numer „Lotu Polskiego", organu oficjalnego L. O. P. P. i A. R. P. ze wspaniałą okładką Bohdana Nowakowskiego.

Treść numeru: Konkurs awjonetek; H. M. Federacja Związku b. Obrońców Ojczyzny podejmuje nasze prace. Kpt. Halewski — Nowe drogi; W. Woyna — Ważna placówka; Pierwszy rok działalności P. L. L. „Lot"; Wł. Kowalski — Zastosowanie psychotechniki w lotnictwie; K. Grudziński — Rozwój lotnictwa cywilnego w Z. S. S. R.

KRONIKA MIĘDZYNARODOWA.

Nadzwyczaj interesująca nowela Zdzisława Kleszczyńskiego; nowości ilustrowane; Antoni Korczyński: „Duchy przestworzy" (powieść, odcinek I-szy); kpt. H. Mączyński — Obrona P. G. i P. L.; Propaganda lotnictwa w szkołach — dyr. Wł. Baliński; Odezwa „Do Młodzieży!" — Jerzy Lewestam; inż. Błaszczyński — Model Hydroplan — 7-a; Nauka i Technika — St. Bardadin; Nowości w dziale techniki lotniczej; Porwanie pięknej pani w różnych epokach; Rozrywki umysłowe, oraz Biuletyn Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej i biuletyn L. O. P. P.

Prócz tego „Lot Polski" podaje ogłoszenie Wielkiego Konkursu Muzycznego L. O. P. P. wraz z nagrodami i jury.

Torpeda — mordercza broń morska

Najbardziej dramatyczne epizody współczesnych nam walk na morzu, a w szczególności pełne grozy zmagania się potęg morskich w czasie Wielkiej Wojny, były związane z użyciem strasznej broni, jaką jest torpeda.

Najbardziej potężne jednostki bojowe, wzbudzające samym swym wyglądem podziw i przeświadczenie o swej niezwyciężalności, dotknięte zdradzieckim ciosem cicho mknącej pod wodą torpedy, zapadały się w odmęty morskie z łatwości wątłej barki rybackiej.

Jednocześnie torpeda jest przyrządem o zadziwiająco precyzyjnej konstrukcji, jest genjalnym tworem mózgu ludzkiego, który pracując tym razem, niestety, w kierunku niszczycielskim, doszedł do wspaniałych rezultatów.

Torpeda jest właściwie prawdziwym statkiem podwodnym w miniaturze, z własnym motorem, własną regulacją zanurzenia, niosącym śmierć w postaci naboju eksplodującego, przy zetknięciu się z kadłubem okrętu nieprzyjacielskiego.

Twórcą jej głównym był inżynier angielski Whitehead, a jego współpracownikiem — major austrjacki, Luppis.

Pierwsze próby z tym przyrządem odbyły się w r. 1864 w Fiume i doprowadziły do zbudowania torpedy, przebiegającej 650 metrów z szybkością 7 węzłów, pod wpływem motoru o sprężonem powietrzu.

Był to prototyp, z którego powstały inne typy doskonalsze, czasów późniejszych.

Nowoczesny typ torpedy, da się przedstawić w krótkości w następujący sposób.

Statek w formie cygara, długości 5—7 metrów, o prędkości posuwania się pod wodą około 65 kilometrów na godzinę.

Źródłem energji, tak samo, jak we wszystkich typach, jest zbiornik napełniony powietrzem pod ciśnieniem. Od jego pojemności zależy promień działania torpedy.

Niemcy, chcąc uczynić swe torpedy możliwie niszczycielskiemi, ograniczali zbiornik do minimum, za cenę powiększenia przestrzeni, naładowanej materjałem wybuchowym. Dlatego też ich torpedy w czasie wojny europejskiej działały na małą odległość.

By dać pojęcie o dokładności i skomplikowanej budowie torpedy, podamy następujący szczegół konstrukcyjny.

Wiadomo, że przy silnem sprzężaniu powietrza następuje podniesienie temperatury. Ten szczegół zresztą wyzyskany jest przy silniku ropowym Diesela. Przy rozprzężaniu zaś następuje zjawisko odwrotne, t. j. spadek temperatury. Otóż, w poruszającej się torpedzie, napędzonej właśnie rozprężającem się powietrzem, temperatura obniża się znacznie, i najmniejsza cząsteczka wilgoci, znajdująca się przypadkiem wewnątrz, ścinając się w lód, mogłaby zatrzymać mechanizm. Dla uniknięcia tego przewidziane jest specjalne ogrzewanie za pomocą alkoholu, co również komplikuje i bez tego złożoną konstrukcję torpedy.

Ponieważ torpeda jest statkiem, musi być kierowaną. W tym celu posiada ster, będący pod kontrolą giroskopu (przyrząd, którego przybliżonym typem jest „bąk" dziecinny) i utrzymywany na oznaczonej głębokości pod wodą, za pomocą sterów głębokości, regulowanych znów przez niezwykle czuły zawór, odpowiadający na ciśnienie warstwy wody ponad płynącą torpedą.

Jeśli np. ostatnia opuściłaby się zbyt głęboko, to zwiększone ciśnienie wody zmusi stery głębokości do wykonania odpowiednich ruchów, których rezultatem będzie podniesienie torpedy.

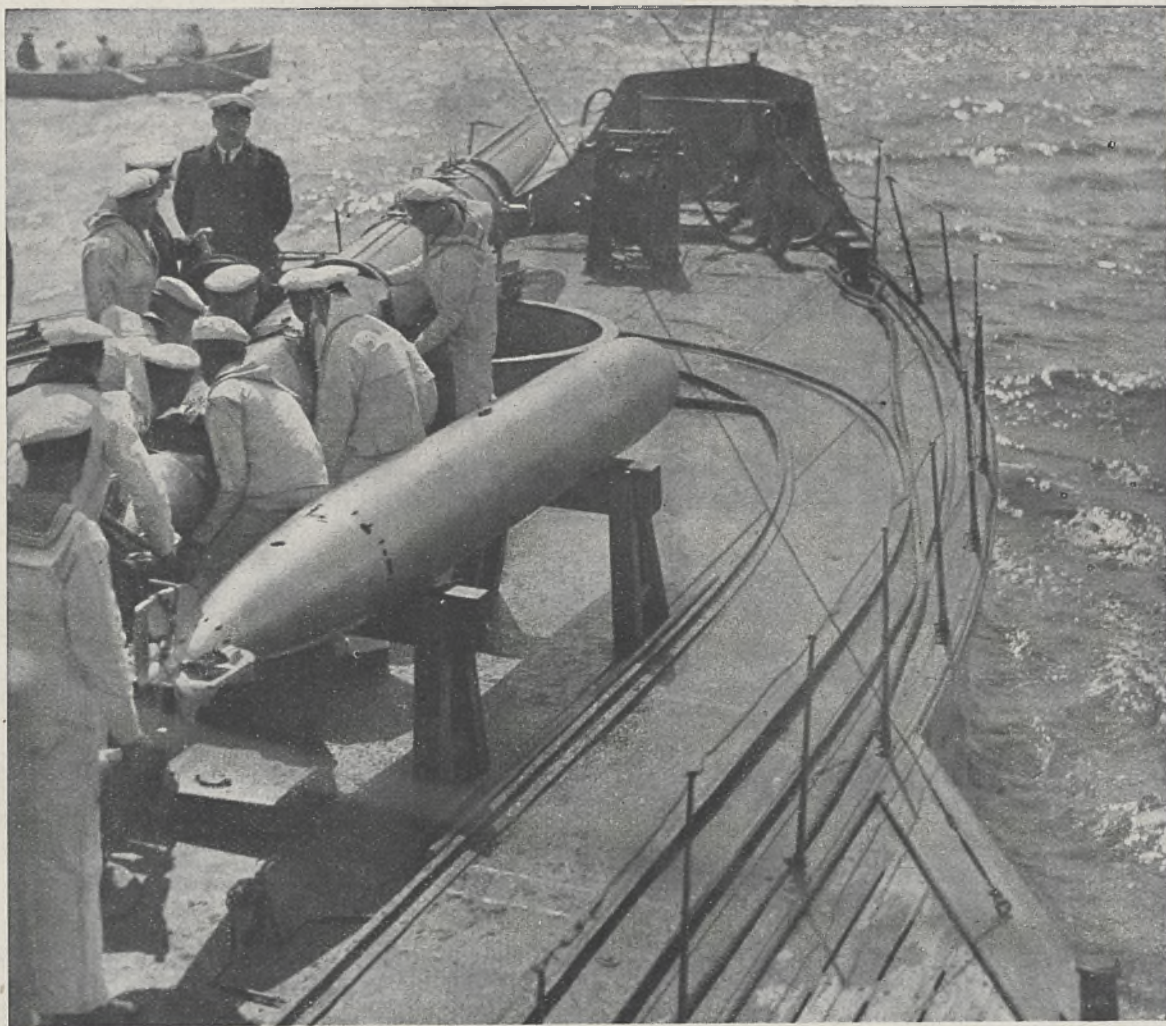
Koniec torepdy, nazwany w żargonie marynarskim „głową bojową", wypełniony jest stu kilogramami materjału wybuchowego, a na samym końcu posiada detonator rtęciowy, którego uderzenie o okręt nieprzyjacielski powoduje wybuch ładunku — z wiadomemi następstwami.

Niektóre typy torped posiadają jeszcze wewnątrz dodatkowy, nadzwyczaj czuły mechanizm, którego celem jest sprowadzenie wybuchu wtedy nawet, gdyby torpeda dla pewnych powodów nie uderzyła swym końcem. W tym wypadku wystarczy nagłe zatrzymanie się torpedy, albo nawet szybkie jej odchylenie się od prostej linji, aby dzieło zniszczenia zostało dokonanem.

Dzięki szeregowi ulepszeń, jakie wprowadzane są stale do konstrukcji tych piekielnych maszyn— a w tej dziedzinie praca nigdy nie ustaje — torpeda nowoczesna, kierowana zespołem przedziwnie subtelnych mechanizmów, prawie bez zawodu odbywa swą drogę, na żądanej głębokości, w określonym kierunku i posłusznie spełnia swe mordercze zadanie.

Zważywszy, że ciężar torped wynosi przeszło pół tonny, zrozumiałem jest, że do manipulowania niemi potrzebne są maszyny specjalne.

Wyrzucanie torped odbywa się za pomocą rur powietrznych lub podwodnych, działających jak



Ćwiczenia marynarki polskiej z torpedami.

armaty. W pierwszym wypadku używa się naboju prochowego dla wyrzucenia torpedy. Sposób ten jest używany przez torpedowce, natomiast zarzucony przez wielkie okręty bojowe, ze względu na niebezpieczeństwo wybuchu torped, w razie spadnięcia na okręt pocisku nieprzyjacielskiego. Przy wyrzucaniu torped pod wodę, np. przez łodzie podwodne, trzy czynności odbywają się jednocześnie: zostaje puszczony w ruch motor samej torpedy, otwiera się wylot od rury powietrznej pod wodą, i wreszcie pęd sprężonego powietrza wyrzuca torpedę.

Istnieje również sposób, wynaleziony przez inż. Drzewieckiego i nagrodzony przez marynarkę francuską w r. 1896, pozwalający na szybsze i łatwiejsze puszczanie torped, umieszczonych nazewnątrz łodzi podwodnej.

Szczegóły ataku nieprzyjaciela za pomocą torpedy zależą od rodzaju jego okrętu.

Jeśli chodzi np. o pancernik, to głębokość zanurzenia torpedy reguluje się na 3—4 metry, jeśli o łódź podwodną — na 7—9 metrów. Torpeda idąca na głębokości zaledwie 1 metra pod powierzchnią, przestaje być posłusznem i sprawnem narzędziem; ruch jej staje się niepewnym i często zamienia się na skoki. Dlatego też okręty o małem zanurzeniu nie bardzo boją się torped.

Słabą stroną torpedy podczas ruchu jest ślad bardzo widoczny, pozostawiony przez nią w wodzie. Pochodzi on nie tylko od wzbudzenia ostatniej, ale także od pęcherzyków powietrza, wydostającego się z motoru pracującej torpedy.

Jest to wielki minus dla napastnika, i wielki plus dla ewentualnej ofiary, która często może uniknąć ciosu przez odpowiedni manewr, zauważywszy zawczasu charakterystyczną brózdę na morzu.

Dlatego też łodzie podwodne, zamierzające wyrzucić torpedę, starają się podpłynąć do okrętu nieprzyjacielskiego możliwie blisko, na 500—400 metrów. Przy takiej odległości torpeda odbywa drogę najwyżej w 30 sekund, co jest za mało dla wykonania manewru przez wielki okręt.

Na początku wojny europejskiej łodzie podwodne niemieckich korsarzy miały *beau jeu* w stosunku do napotykanych na szlakach morskich okrętów handlowych państw sprzymierzonych, lub neutralnych.

Łódź taka zbliżała się na odległość kilkuset metrów, wypływała najspokojniej na powierzchnię i sygnalizowała okrętowi handlowemu rozkaz spuszczenia personelu na wodę w łodziach ratunkowych. Kilka wystrzałów armatnich wystarczyło do zatopienia okrętu. O ile, naturalnie, nie odbyło się wszystko tak, jak w wypadku „Lusitanji", gdzie *Herr Kommandant* poprostu kazał puścić torpedę w bezbronny okręt, skazując na śmierć tysiące ludzi niewinnych.

Później uzbrojono okręty handlowe w działa drobniejszego kalibru. Zmieniło to zasadniczo szanse łodzi podwodnych, polujących na nie.

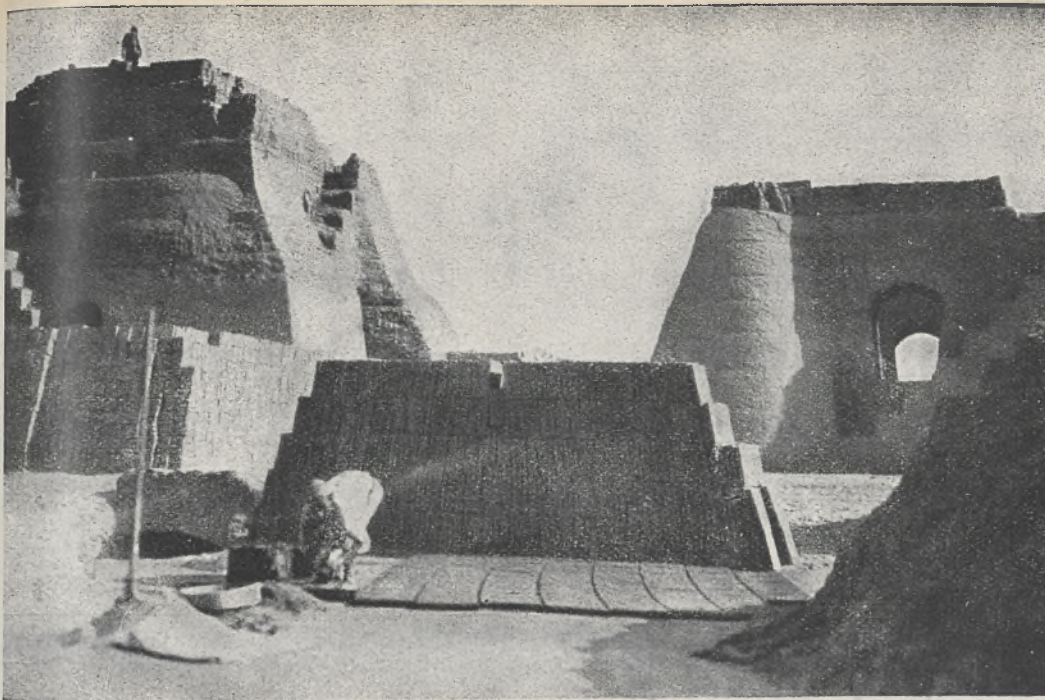
Łódź bowiem podwodna nie może sobie pozwolić na otrzymanie choćby nieznacznej rany od pocisku armatniego: grozić to jej może zupełną zagładą.

Szczególniej Anglicy, stwierdziwszy niemiecką pasję atakowania bezbronnych okrętów, obmyślili nader skuteczny i dowcipny sposób na tępienie szkodników, polegający na wysłaniu w morze szeregu starych, na pozór bezbronnych, rybackich statków. Gdy tylko łódź podwodna niemiecka bez obawy zbliżyła się do takiego starego pudła w chęci zatopienia go, stawała się rzecz niezwykła: na maszcie jego wykwitała wojenna bandera angielska, boki statku opadały, odsłaniając paszcze armat, a na pokładzie ukazywały się postacie marynarzy Jego Brytyjskiej Mości. Salwa armatnia kończyła zazwyczaj epopeję korsarską łodzi. W ten sposób został zniszczony „genjalny" plan von Tirpitza...

Z. K.

✱

Wielkie jednostki morskie którym trudno jest walczyć z torpedowcami i łodziami podwodnemi, otrzymały w sukurs niewielki stateczki, zwane kontrtorpedowcami (destroyer), którym mały tonnaż, a co zatem idzie niewielkie zanurzenie się pozwala na ruchliwość, która jest pierwszym warunkiem obrony. I dziwna rzecz, że na przeciągającej się w nieskończoność konferencji rozbrojeniowej morskiej ani razu nie padło zdanie mające na celu ograniczenia tonnażu tych stateczków. Widocznie ograniczenie zbrojeń morskich ma pójść w kierunku ilości, a nie jakości, która przecież może z łatwością zastąpić pięciocyfrowe liczby wycofanego tonnażu.



Ruiny z okolic biblijnego Babilonu.

Budownictwo biblijne na Wschodzie

Do dziś jeszcze w Chinach, Tybecie, Turkiestanie, Afganistanie i Mezopotamji produkcja cegły nie uległa ulepszeniu od czasów biblijnych. A dość dawno już temu, starożytni egipcjanie przejęli od rządów azjatyckich sposób otrzymywania cegieł, suszonych na słońcu, a niewypalanych. I resztki tego zdawałoby się nietrwałego materjału utrzymały się doskonale do dziś w ruinach murów Niniwy, Babilonu, a nawet Troi. Możemy więc sobie nietylko przedstawić stan starożytnego budownictwa miast i fortec, ale nawet bez trudu odpowiedzieć na pytanie, czemu starożytni nie wypalali cegły, jak to my dziś czynimy. Cegły wypalone naogół łatwo się kruszą, jeśli nie wykonano ich najbardziej starannie i wypalano w zbyt niskiej, lub zbyt wysokiej temperaturze. Trudno byłoby zadośćuczynić tym warunkom w prymitywnych piecach ziemnych, opalanych węglem drzewnym. Nic więc dziwnego, że nietylko biblijne ludy budowały miasta i domy z surowej cegły. Czynili to Rzymianie, a nawet kulturalni mieszkańcy nowego świata: Toltekowie, Astekowie i Inkasi.

W samym sposobie produkowania surowej cegły nic się dziś na wschodzie nie zmieniło od czasów starożytności. Najpierw więc wykopuje się w ziemi szerokie doły o głębokości 20—40 metrów, dopóki nie natrafi się na czystą glinę. Potem kanałami odprowadza się wodę jak najdalej, aż nad pokładem gliny pozostaje najwyżej półmetrowa warstwa wody, która zresztą szybko wysycha pod palącemi promieniami podzwrotnikowego słońca. Następnie surowiec, glinę, wydobywa się na wierzch zapomocą nader prymitywnie skonstruowanych wind i do miejsca pracy, do właściwej cegielni, przenosi się w workach lnianych, zaopatrzonych u góry w obręczowaty, drewnem okuty otwór, albo wprost w skórzanych wiadrach. Do wymieszania gliny służą specjalne baseny, gdzie oczyszcza się ją ze żwiru i kamieni, poczem miesza się z marglem i drobno pociętą słomą, aby nadać materjałowi większą spoistość; potem tak spreparowaną glinę wygniata się zwyczajnie — bosemi nogami. Cegły wyrabia się w drewnianych formach; są one inne, niż nasze — bardziej płaskie i szersze. Po wytłoczeniu w formach układa się je na równo udeptanym placu dla przeschnięcia. Później, po ściśle określonym czasie działania słonecznego, raz jeszcze ściska je się w kamiennej prasie, wygładza ręcznie — i znów suszy. Dla nadania większej trwałości cegłom kładzie się je jeszcze czasem na wierzch pieców, opalanych od dołu (dość słabo naturalnie). Ciepło sztuczne działa od dołu — ciepło słoneczne od góry — i to wszystko. Nic dziwnego, że fabrykacja cegieł na Wschodzie kwitnie głównie w maju, czerwcu i lipcu, kiedy słońce grzeje najmocniej. Ilość cegieł wykonanych w przeciągu dnia przez jednego robotnika, jest dość duża: waha się ona między 1500 a 1800 sztuk dziennie. Niewykwalifikowany nawet robotnik wykona tysiąc sztuk.

Naturalnie, że taki materjał budowlany nie gwarantuje nadzwyczajnej trwałości pod względem odporności na działanie wilgoci. Zwłaszcza, jeżeli cegły nie zostały dość dobrze wysuszone, zdarza się, że ściana, czy mur „zsiada się", a budowla z wilgotnej cegły robi klapę — dosłownie. Na szczęście klimat Wschodu jest dość suchy, deszcze nie są ani tak długotrwałe, ani intensywne, jak u nas. Ale wrażliwość murów na działanie wody niejednokrotnie była wykorzystywana już w starożytności. Tak np. Cadeńczycy starali się mury obleganych miast podmyć wodą, co zawsze dawało pożądany wynik. A historycznie znany jest fakt zdobycia Mantinei przez króla spartańskiego zapomocą spłukania części murów obronnych przez specjalnie skierowaną rzekę Opis. W podobny sposób z własnej winy padła Niniwa. Podczas oblężenia mieszkańcy miasta cierpieli na brak wody. Wykopali więc kanał do rzeki Tygr, ale woda poszła nim zbyt raźno i zniszczyła całą północną część fortyfikacji. Nic dziwnego, że areopag starożytnego Miletu, troszcząc się o jakość budowli w mieście, wyznaczył specjalnych stróżów, którzy pilnowali, aby cegły, używane do budowania domów mieszkalnych i murów obronnych, były należycie wysuszane: winny były one podlegać działaniu słońca przez pięć przynajmniej lat.

Rzeczywiście — surowe cegły, byle tylko doskonale suche, są materjałem budowlanym bardzo trwałym: dowodem tego jest doskonale utrzymany pałac emira Buchary, z takich cegieł wzniesiony, nie mówiąc już o ruinach tak starych grodów, jak Babilon i Niniwa.

Cegły surowe bowiem są dość trwałe, jeśli idzie o działanie powietrza i gorąca — nie kruszą się. Ale w dzisiejszych tandeciarskich czasach zdarza się często, zwłaszcza w Persji i Iraku, że cegły takie, nie dość dobrze wykonane z odpowiedniej mieszaniny, już po trzydniowem wysuszeniu idą na budowlę. Nic dziwnego, że również po trzech dniach, jeśli spadnie uczciwy deszcz, dom zamienia się w wielką kupę błota, a Bogu ducha winny budowniczy dostaje cięgi.

(F. S.).



Świątynia chaldejska odkopana w Syrji.

O'HENRY.

Nadszedł dzień radosny...

(przekład E. Szymańskiego).

Na szklanych drzwiach numeru 962 błyszczały mosiężne litery, składające się na lakoniczny napis: „Robbins & Hartley. S. A.". Było już po czwartej. Wszyscy urzędnicy wyszli przed chwilą. Do gabinetu szefów, przez półotwarte okna, wciskał się specyficzny zapach Nowego Jorku: dym, przepojony benzyną.

Robbins, pierwszy wspólnik, pięćdziesięcioletni dandy, amator premjer i dancingów, wyrażał właśnie dosadnie Hartleyowi jak niewysoko sobie ceni jego powściągliwość od zabaw i rozrywek wielkiego miasta.

„I pan, i pańska rodzina... he, he... czujecie się więc doskonale tak zdala — jak się to mówi? — od zgiełku i wrzawy. Przy blasku księżyca, w majową noc ... he, he..."

Hartley, dwudziestodziewięciolatek, przystojny, nerwowy brunet, spoglądał na drzwi, i nie przerywając sobie tego filozoficznego zajęcia, odpowiedział:

„Tak. Są u nas i majowe noce, zwłaszcza w maju. Ma pan rację. Czasem znowu noce mamy chłodne — przeważnie w zimie".

Tymczasem drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł młody, zgrabny mężczyzna w sportowem ubraniu. Swobodnie ukłonił się i nie widząc stojącego przy wieszaku Robbinsa, podszedł do Hartleya, uśmiechając się, jak ktoś, kto przynosi dobrą nowinę.

„Mam już adres tej panny. Prawda, że prędko? I..."

Ale Hartley jednem spojrzeniem dał mu znać, że nie są sami. Młody człowiek odrazu przywołał twarz do porządku i wrócił do swej zwykłej roli prywatnego detektywa. Robbins, uśmiechając się znacząco, szybko zgarnął w lewą rękę teczkę, laskę i kapelusz, kiwnął prawą ręką na pożegnanie wspólnikowi i w sposób manifestacyjnie dyskretny ulotnił się.

„Proszę, oto kartka — rzekł detektyw. — Vivienne Arlington, Nr. 341, East, 10 avenue, u mrs. Comus. Jeżeli życzy sobie pan, służę mu w dalszym ciągu. Niewiele — siedem dolarów dziennie i zwrot kosztów. Dokładny biuletyn, pisany na maszynie, otrzyma pan co wieczór. Aha, jeszcze jedno. Panna Arlington sprowadziła się tam przed tygodniem".

„Dziękuję panu, to zbyteczne — odparł Hartley. — Chciałem mieć tylko adres. Ile jestem panu dłużny?"

„Jeden dzień. Dziesięć dolarów wystarczy".

Hartley zapłacił i odprawił detektywa. Potem opuścił sam swój trzydziestopiętrowy dom, wyszedł na ulicę i wsiadł w tramwaj, idący na Broadway. Na pierwszej poprzecznej avenue wysiadł i wskoczył w inny tramwaj, który przywiózł go na wschód, przez coraz mniej dumne i gwarne ulice, aż tam, gdzie kończy się właściwy New-York, a zaczyna się nieciekawe i puste przedmieście. Hartley przeszedł kilka placów i odnalazł dom, który go obchodził. Był to zwyczajny, szary, czynszowy budynek, w którym nigdy nie mieszka sam właściciel. Na podwórku ktoś trzepał bieliznę, czy chodniki, a z sieni kuchennej dolatywał aż nadto wyraźnie zapach smażącej się cebuli i gryząca woń marnego mydła. Hartley przystanął w bramie, popatrzył chwilę na wizytówki, umieszczone przy drzwiach frontowych, a potem zadzwonił. Elektryczny mechanizm zaskrzypiał po chwili nieufnie, jakby obawiajac się, czy nie otwiera drogi wierzycielowi, i Hartley wszedł. Piął się energiczne po schodach, przeskakując po trzy naraz i zwolnił dopiero, gdy na czwartem piętrze ujrzał Vivienne, stojącą w otwartych drzwiach.

Skinęła mu główką na powitanie i z uśmiechem poprosiła do pokoju. Wskazując mu krzesło przy oknie, sama siadła w pełnej wdzięku i prostoty pozie na starej, wytartej kanapie. Wstrząsnęła bujnemi lokami i patrzyła pół ciekawie, pół poważnie, na siedzącego vis a vis mężczyznę. Mogła mieć lat dwadzieścia — nie więcej. Była uosobieniem najczystszego anglosaskiego typu. Włosy miała jasne, zlekka popielate, i każdy promień ich odbijał coraz to inny ton, padającego przez okno światła, zależnie od tego, jak poruszała główką. Doskonała harmonja zachodziła między półchłopięcemi rysami jej twarzy, a oczyma, niebieskiemi, jak morze, patrzącemi jasno i ufnie na świat; ze spojrzeń tych biła jednak dziwna energja i wola, jakby młoda panienka przeszła w życiu już wiele walk i wszystkie wygrała.

A jednak w całej jej postaci zdawało się drzemać coś egzotycznego, nieuchwytnego, jak cień wiatru — coś, co można było jedynie odczuć dzięki jej niedbałej pozie. Dobry psycholog poznałby, że do miłych rozrywek dziewczęcia należy czasem dolce far niente. Vivienne była jasna, ale i ciepła, jak słońce Florydy. Ciało miała zgrabne, silne, tchnące wdziękiem i naturalnością, ciało swobodnej, leśnej boginki. Ubrana była w białą bluzkę i czarny fartuszek — dyskretny maskaradowy strój gęsiarek i księżniczek.

„Vivienne — zaczął Hartley. — Nie odpowiedziała pani wcale na mój ostatni list. Tylko dzięki temu, że od tygodnia szukam panią wszelkiemi możliwemi sposobami, odkryłem nareszcie miejsce Twego pobytu. Jakże można było zostawić mnie w takiem położeniu, skoro wiedziała pani, że ogromnie zależy mi na tem, aby się z nią widzieć i otrzymać nareszcie pozytywną odpowiedź?"

Dziewczyna spuściła oczy i mówiła powoli, choć znać było, że waha się raczej dla pozoru, aby może dogodzić swemu wiecznie kobiecemu instynktowi przekory.

„Nie wiem doprawdy, co mam panu odpowiedzieć, mr. Hartley. Rozumiem wszystkie dodatnie strony pańskiej propozycji i często wydaje mi się, że byłabym z tego zupełnie zadowolona. Ale potem znowu przychodzą wątpliwości. Urodziłam się i wychowałam w wielkiem mieście. Boję się nudy i pustki podmiejskiego życia".

„Drogie dziecko — rzekł Hartley. — Rozumiem, że jest pani wyjątkowo inteligentna i biorę to pod uwagę. Czyż nie mówiłem już pani, że będziesz mieć wszystko, czego dusza zapragnie, wszystko, co jest naturalnie w mojej mocy i co nie koliduje z obowiązkami, jakie będzie pani mieć? Będzie pani mogła pojechać do miasta, aby pójść do teatru, po zakupy, czy w odwiedziny do przyjaciółek tak często, jak sama pani zechce. Można mi zaufać chyba — nieprawdaż?"

„Tak, ufać panu można. Wiem, że jest pan bardzo dobry i że mogłabym być poprostu szczęśliwa. Dowiedziałam się dużo o panu, gdy byłam u Montgomerych".

Vivienne wstała i podeszła do okna.

„Ach — zawołał wesoło Hartley — doskonale pamiętam ten wieczór u Montgomerych, gdy widziałem panią poraz pierwszy. Montgomery przez cały czas śpiewał poprostu hymny pochwalne dla pani. Tej kolacji wtedy, nie zapomnę chyba nigdy. Niechże się pani zgodzi, Vivienne. Niech mi pani przynajmniej przyrzeknie. Chcę panią mieć u siebie. Nie będzie pani tego nigdy żałować. I doprawdy, chyba nikt inny nie da pani tego, co ja".

Dziewczyna westchnęła i spojrzała z rezygnacją na swe oparte o parapet okna ręce. Nagła myśl zaświtała w głowie Hartley'a.

„Niech mi pani powie, Vivienne — zapytał trochę może za ostro — może, może już kto inny?..."

„Nie powinien pan pytać, mister Hartley — odpowiedziała. — Ale zresztą powiem panu. Tak. Jest ktoś jeszcze. Ale i jeszcze nic nie obiecałam".

Lekki rumieniec okrył jej policzki i szyję.

„Kto?" — zapytał lakonicznie Hartley.

„Townsend".

„Rafford Townsend! — zawołał Hartley i szczęki zwarły mu się energicznie. Skąd on mo[że] panią znać? Ten idjota! Że też od kolebki zawsze włazi mi w drogę! Ale teraz mam już dość!"

Vivienne wyjrzała przez okno. Z pustej zwykle ulicy doleciał sygnał samochodowej trąbki.

„Słyszy pan? Podjeżdża jego auto. Przyszedł i on po odpowiedź. Och, nie wiem doprawdy, co począć!"

Dzwonek w przedpokoju rozkrzyczał się na sekundę i umilkł. Vivienne wstała, aby nacisnąć guzik.

„Niech pani zostanie — rzekł Hartley. — Ja sam już załatwię".

Townsend w lekkiem, jasnem ubraniu, z panamą w ręce, sadził po schodach nie wolniej, niż przed chwilą jego rywal. Ujrzawszy Hartley'a, zrobił doskonale głupią minę.

„Wróć się" — rzekł krótko Hartley i wyciągnął rękę, wskazując drogę nadół.

„Hallo — zawołał Townsend, opanowawszy się. — Co to znaczy? Skąd ty tutaj, stary druhu.

„Wróć się — powtórzył Hartley, nie drgnąwszy nawet. — Prawo dżungli. Czy chcesz, abym nadał ci przyspieszenie, proporcjonalnie do masy?"

„Przyszedłem tu do blacharza, aby naprawił kran przy wannie... tego..." — łgał Townsend.

„All right — ciągnął Hartley niewzruszenie.— To kłamstwo, mizerne i nieudolne, może powędrować nadół razem z tobą. Wróć się. Dziewczyna jest moja".

Townsend schodził powoli, ociągając się manifestacyjnie i klnąc dość głośno. Rywal odprowadził go wzrokiem, a potem wrócił do Vivienne.

„Wygnałem go — rzekł. — Muszę panią mieć i kwita. I to jak najprędzej".

„Kiedy?" — spytała Vivienne, a w głosie jej brzmiało poddanie się.

„Choćby zaraz, jak tylko zdąży pani przygotować się i spakować".

„Czy sądzi pan choć przez chwilę, że wejdę do pańskiego domu, dopóki jest tam ta—Heloiza?"

Hartley skrzyżował ręce na piersiach i kilka razy przemierzył pokój energicznemi krokami.

„Trudno to będzie, ale ma pani rację. Trzeba jej się pozbyć i to bez zwłoki".

„Kiedy to pan uczyni?" — spytała Vivienne.

„Dziś wieczorem — odpowiedział Hartley stanowczym tonem. — Dziś wieczorem dom będzie już wolny od tej zmory".

„Wtedy — rzekła Vivienne — wtedy odpowiedź moja brzmieć będzie: tak. I zabierze mnie pan, kiedy zechce".

Patrzyła mu prosto w oczy, a źrenice jej były jasne i pełne pogody.

„Niech mi pani przyrzeknie — rzekł Hartley — naprawdę, na słowo honoru".

„Dobrze. Ma pan moje słowo honoru" — odpowiedziała Vivienne z uśmiechem.

Jeszcze przy drzwiach popatrzył Hartley na Vivienne, jak człowiek, co niema odwagi uwierzyć we własne szczęście.

„Jutro!" — powiedział na pożegnanie, poważnie podnosząc do góry wskazujący palec.

„Jutro!" — powtórzyła Vivienne pełnym pogody głosem.

— — — — — — — — — —

W półtorej godziny później wysiadał Hartley we Floralhurst z pociągu.

Za pięć minut stał już przed własną białą piętrową willą, ślicznie położoną w pełnym zieleni i radości ogrodzie.

Na ganku powitała go młoda, piękna kobieta, o czarnych, aksamitnych oczach, ubrana w gustowną, letnią suknię.

„Mama już jest" — oznajmiła. — Przyjechała autem przed chwilą na obiad — ale obiadu niema".

„Mam ci coś do powiedzenia — rzekł Hartley. — Chciałem ci to samej oznajmić, ale skoro jest tu i twoja mama — tem lepiej".

Pochylił się i szeptał jej coś przez chwilę do ucha. Młoda pani klasnęła w dłonie z radości i zaczęła go obsypywać pocałunkami, nazywając najlepszym, kochanym, dbałym mężem.

Matka jej zeszła na ganek. Czarnooka kobieta wprost nie posiadała się z radości:

„Ach, mamo! — wołała ekstatycznie. — Czy wiesz? Od jutra kucharką u nas będzie Vivienne. Wiesz, ta sama, co przeszło rok była u Montgomerych. A ty, Bill — zwróciła się do męża, pójdź zaraz do kuchni i rozpraw się ostatecznie z tą Heloizą. Niech się zaraz wynosi. Wyobraź sobie — dziś znów cały dzień była pijana".

Zwalczajmy starzenie się rąk

Zbyt mało jeszcze uwagi zwracamy na pielęgnowanie rąk, aczkolwiek zwiastunem starzenia się bywa często marnienie skóry ich grzbietów. Cienkość pomarszczonej skóry rąk zdradza niedyskretnie zbliżającą się zimę doczesnej wędrówki. Zaznaczam, że ochudzeniem ciała wywołuje się przedwcześnie objawy starzejących się rąk. Zwyczaj powierzchownego wcierania kremu lub — co gorsza — gliceryny, jest bezcelowy, względnie wręcz szkodliwy. Skóra rąk wymaga stałego ożywiania *masażem* zapomocą ożywczego kremu, tudzież dowozu ciepła. W tym celu zanurza się ręce codziennie na parę minut do gorącej wody, a po osuszeniu masuje się ożywczym *kremem „Oxa" Dra Lustra* od końców palców ku górze. Po wymasowaniu kąpie się ręce znów w gorącej wodzie, poczem zmywa się krem mydłem *śmietankowem „Miraculum"*. Posługując się *zapobiegawczo* tą metodą utrzymać można młodzianą skórę do późnego wieku. *Podstarzałe* ręce doprowadza się do soczystości tą samą metodą, atoli wskazane są dodatkowe okłady gorącem mlekiem. W dzień wcierać krem „Mira" Dra Lustra.

Dr. Z. B.

W Ouargla (Alger) odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika na cześć uczestników historycznej wyprawy do jeziora Tchad. Przed pomnikiem grupa uczestników tej kampanji — dziś przeważnie w rangach generałów.

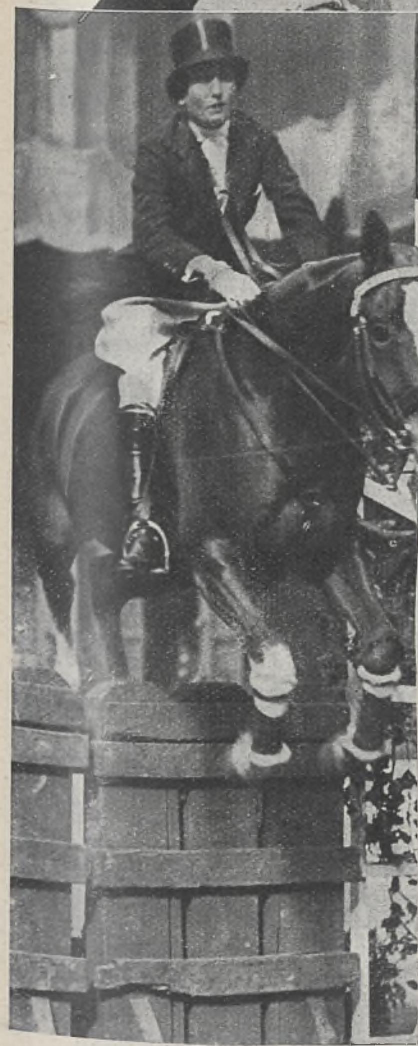




Pan Prezydent Massaryk podczas pogrzebu wieszcza Jiraska.

Dorocznym zwyczajem odbyło się w Japonji święto wypędzania złych duchów. Na estradzie słynny siłacz Toyokuni, jako celebrant.

Kierowca angielski Kaye Done, przyszły rekordzista szybkości.



Migawka z konkursu hipicznego w Paryżu. P. Bell Baruch bierze z brawurą przeszkodę.





Król Alfons XIII podczas uroczystego nabożeństwa za duszę zmarłego dyktatora Primo de Rivera.

Komuniści w New-Yorku obnosili karykatury b. cara Mikołaja i Rasputina.

Co słychać na świecie

Po dwóch próbach utworzenia gabinetu, jakie podjęli kolejno p.p. marszałek Senatu Szymański i poseł Jan Piłsudski, a które zakończyły się niepowodzeniem, — gabinet utworzył p. poseł płk. Walery Sławek, powołując do współpracy wszystkich dotychczasowych członków rządu w gabinecie p. prof. Bartla, z jedną jedynie zmianą na stanowisku ministra sprawiedliwości, które objął p. St. Car. P. minister Prystor, któremu Sejm uchwalił votum nieufności, oraz p. minister Czerwiński, przeciwko któremu poważne zastrzeżenia w Sejmie wysuwał obóz narodowy, pozostali obaj na swych stanowiskach.

W przeciwstawieniu do przewlekłych prób stworzenia rządu pp. marszałka Senatu i posła Jana Piłsudskiego, gabinet p. premjera Sławka powstał w tempie błyskawicznem. Dn. 29 ub. m., o godz. 12 w poł., p. Jan Piłsudski zrzekł się misji tworzenia rządu, poczem tegoż dnia, o godz. 3 po poł., p. Prezydent Rzplitej powierzył misję utworzenia gabinetu p. posłowi Sławkowi; o godz. 7 wiecz. dekrety nominacyjne zostały już podpisane; o godz. 7 m. 15 gabinet został zaprzysiężony, wreszcie o godz. 7 m. 30 podpisane zostały dekrety o zamknięciu sesji budżetowej Sejmu i Senatu. Nazajutrz, w niedzielę, w godzinach południowych, p. premjer Sławek przejął urzędowanie od p. prof. Bartla.

Mówiąc o likwidacji przesilenia gabinetowego, „Gazeta Polska" twierdzi, że „powierzenie przez p. Prezydenta Rzplitej steru rządów posłowi Waleremu Sławkowi powinno zadowolić przedewszystkiem zwolenników parlamentaryzmu. Prasa natomiast przeciwna rządowi, odmiennego jest zdania. „Gabinet płk. Sławka — pisze klerykalna „Polska" — robi wrażenie, iż powstał całkowicie po linji nieliczenia się z wypowiadanemi z wielu stron opinjami o potrzebie łagodzenia wewnętrznych przeciwieństw i skupiania sił społecznych, w możliwie zgodnej pracy nad dźwiganiem kraju z kryzysu nietylko ekonomicznego, ale także z kryzysu państwowo-politycznego". Zdaniem „A.B.C." już sama osoba premjera, przywódcy t. zw. grupy pułkownikowskiej, wskazuje na to, że gabinet będzie nosił charakter „bojowy". „Kurjer Warszawski" jest zdania, że doszliśmy do konieczności przeprowadzenia nowych wyborów parlamentarnych, które tym razem nie odbyłyby się w atmosferze zamętu pojęć i haseł. Nawet „Dzień Polski", organ konserwatystów, współpracujących z rządem, twierdzi o personaljach nowego gabinetu, że noszą one „wyraźną cechę ostrego kursu wobec opozycji sejmowej". Istotnie, już samo zamknięcie sesji budżetowej w 15 minut po zaprzysiężeniu nowego gabinetu rzuca pewne światło na pogląd „Gazety Polskiej", jaki przytoczyliśmy powyżej.

*

Sesja budżetowa Sejmu i Senatu została zamknięta, przedtem przecież odbyło się w sobotę ub., d. 29 ub. m., w godzinach rannych, ostatnie posiedzenie, nazwane niemem, na którem uchwalono budżet Rzeczypospolitej naogół z poprawkami komisji budżetowej Sejmu. Nadwyżka budżetowa wynosi blisko 98 milj. złotych. Wiadomość, iż posiedzenie sobotnie Sejmu się odbyło, wywołała powszechne zdziwienie wobec uporczywych zapowiedzi klubu B. B., iż do posiedzenia tego jako rzekomo niekonstytucyjnego, nie dopuści za żadną cenę.

W chwilę po zamknięciu posiedzenia poseł Dobrzański z B. B. uderzył w głowę posła Rybarskiego z klubu narodowego, który miał go potrącić. Wieczorem tegoż dnia kluby sejmowe P. P. S., „Wyzwolenia", Stronnictwa chłopskiego, „Piasta", Ch. D. i N. P. R. uznały „napaść p. Dobrzańskiego za bezprzykładną formę ujawniania nienawiści politycznej". Poseł Rybarski skierował sprawę napadu nań na drogę sądową.



Dyrektorowie banków państwa francuskiego i niemieckiego, pp. Moreau i Luther przed wyjazdem na konferencję rozrachunkową do Londynu.

*

Robotnik" z niedzieli, d. 30 marca, doniósł, że w sobotę, około godz. 6 wiecz., zebrały się w stolicy, na Placu Trzech Krzyży, tłumy robotników, które demonstrowały przeciw zamachom na prawo, konstytucję i parlament, przeciwko „rządowi pułkowników" i „sanacji". Demonstrujący przeciągnęli następnie Nowym Światem do Prezydjum Rady Ministrów, na Krakowskiem Przedmieściu, a odparci stamtąd przez kordon policyjny, udali się na pl. Marszałka Piłsudskiego, gdzie ich rozproszono.

*

Rada naczelna stronnictwa narodowego powzięła na posiedzeniu w d. 30 ub. m. szereg uchwał, w których stwierdza, że rządy t. zw. pomajowe wykazały dotychczas całkowitą niezdolność kierowania sprawami gospodarczemi i skarbowemi, a obecnie stoją bezradnie wobec pogłębiającego się stale kryzysu". W dalszym ciągu uchwały te stwierdzają, że rządy pomajowe w polityce wewnętrznej nie umiały dać niczego poza pomijaniem prawa, w sprawie naprawy ustroju nie mają żadnego programu, a w polityce zagranicznej podkopały znaczenie państwa polskiego na gruncie międzynarodowym. Pozatem uchwały stronnictwa narodowego formułują szereg postulatów, których wprowadzenie w czyn zapobiegłoby kryzysowi gospodarczemu.

*

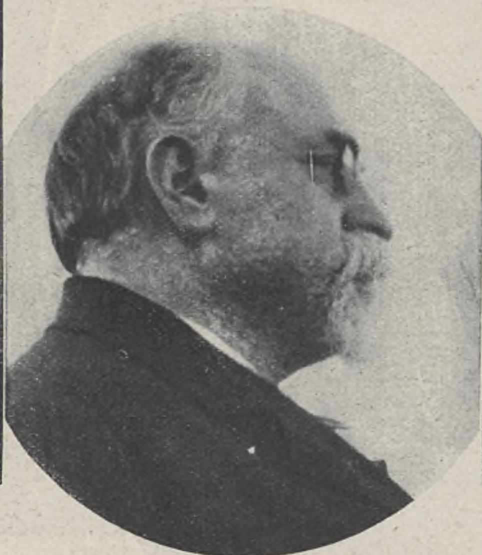
Nowy rząd w Niemczech powołany został dekretem prezydenta Rzeszy Hindenburga w d. 29 ub. m., po upadku gabinetu socjalisty Muellera. W związku z powołaniem nowego gabinetu Rzeszy prasa niemiecka podnosi sprzeczności ,tkwiące w jego łonie, a miawicie dzienniki nacjonalistyczne stwierdzają niemożność porozumienia się ministrów prawicowych Schielego i Treviranusa, którzy jako posłowie głosowali przeciw układowi z Polską, z ministrem Curtiusem, który układu tego bronił. „Lokalanzeiger" donosi, że stanowisko nacjonalistów wobec nowego rządu zależy od tego, czy rząd Brüninga złoży parlamentowi Rzeszy traktat handlowy polsko-niemiecki w niezmienionej postaci, czy też rozpocznie z Polską nowe na ten temat rokowania.

*

Wybory komunalne na Górnym Śląsku, jakie się odbyły w d. 30 ub. m., wykazują, według dotychczasowych doniesień, zdecydowaną przewagę żywiołu polskiego.



Miss Kathleen Chevassuts, z Westminster Hospital w Londynie dokonała rzekomo odkrycia w dziedzinie zwalczania sklerozy.



Znany pisarz rosyjski Riazanow, stojący na czele instytutu im. Marksa, obchodził 40-lecie swej działalności.



Nowym admirałem floty brytyjskiej został mianowany bohater wojny światowej z pod Zeebruge, adm. Roger Keyes.

Odznaczenie polskiego pisarza

Przed kilkoma dniami odbył się w Sorbonie w Paryżu uroczysty akt wręczenia Wacławowi Sieroszewskiemu krzyża komandorskiego Legji Honorowej. W zastępstwie p. marszałka Lyautey okolicznościowe przemówienie wygłosił p. Louis Marin. Przy stole prezydjalnym zasiedli pp. Andre Therive, gen. Henrys, ambasador Chłapowski i p. Sully z Komedji Francuskiej.



REPERTUAR TEATRÓW

WIELKI

Dn. 3 b. m. „Aida"
Dn. 4 b. m. „Wesele Figara".
Dn. 5 b. m. „Cyrulik Sewilski"
Dn. 6 b. m. „Parsiwal" o godz. 6 po poł.
Dn. 7 b. m. przedstawienie zawieszone.
Dn. 8 b. m. „Boruta"
Dn. 9 b. m. „Madame Butterfley".

NARODOWY.

Codziennie „Magja" Chestertona

LETNI.

Codziennie „Maman do wzięcia"

NOWY.

Codziennie „Kochankowie z Werony"

POLSKI.

Codziennie „Dom Kobiet"

MAŁY.

Codziennie „Związek Niedobrany"

QUI PRO QUO.

Rewja p. t. „Maj za pasem"

MORSKIE OKO

Rewja p. t. „Gwiazdy Warszawy"

WESOŁY WIECZÓR

Codziennie Rewja pt. „Pod Messalką"

CYRK

II program cyrku Staniewskich.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
JERZY RADLICZ

DR. RAKOWSKI

Wśród starych mistrzów pendzla

Od lat przeszło dwudziestu zbierając dzieła starych mistrzów pendzla, ileż to razy spotykałem na mej drodze bardzo marne, choć bardzo stare płótniska, których posiadacze z pełnem przekonaniem zapewniali mnie, że to są prawdziwe „Rembrandty", „Rubensy", „Velasquezy"! Gdziekolwiek na obrazku znalazł się siwek pomiędzy końmi innej maści, to już napewno musiał być Wouwerman. Doprawdy, gdyby wszystkie te obrazy, które mi przedstawiano, naiwnie lub czelnie, jako oryginały pierwszorzędnych mistrzów, być mogły nimi w istocie, Warszawa mogłaby posiadać galerję obrazów, piękniejszą i cenniejszą od Louvru, National Gallery i Pinakoteki, razem wziętych. Bezdenna ignorancja, którą się na tem polu spotyka na każdym kroku, tłomaczy się tem, że nas, zbieraczów starych obrazów, ogół uważa za rodzaj manjaków, wyobrażając sobie, że im starszy obraz, im bardziej zbutwiałe płótno, lub stoczona przez robaki deszczułka, na której są ślady starej farby, tem w oczach tych manjaków obraz jest cenniejszy. Nie wiele jest osób zdolnych odczuć prawdziwe piękno pod patyną i śniedzią wieków, pokrywającą stare płótna, — i dlatego niewiele osób rozumie, że w tem kolekcjonerstwie starych obrazów tkwią głębokie estetyczne popędy. Powtóre mało kto się zastanawia nad tem, że jak dzisiaj, tak i dawniej, zarówno w malarstwie, jak i w każdej innej dziedzinie artystycznej twórczości, więcej było fuszerów, niż mistrzów, a więc im więcej ich było, tem więcej szans, że w tej samej proporcji ich „dzieła" przechowały się do naszych czasów. Z nieuświadomienia sobie tej prostej prawdy ignorancja wyprowadza przypuszczenie, że każdy *stary* obraz musi być *cennym obrazem*. A cóż dopiero, gdy się czyta od czasu do czasu w gazetach, że w Londynie odnaleziono „na strychu" obraz Van Dycka, czy Rafaela, za który szczęśliwy posiadacz wziął setki tysięcy dolarów! To podnieca, to budzi niezdrowe nadzieje.

Niedawno pokazywano mi istotnie dobry obraz szkoły włoskiej, wprawdzie niewielkiego formatu, ale zasługujący na szczegółowe zbadanie, gdyż pochodzi niewątpliwie z pod pierwszorzędnego pendzla, — ale właściciel swój sąd ustalił zgóry już tam, gdzie badacz dopiero bierze lupę do ręki i wertować poczyna specjalną literaturę. *„To jest Correggio"* — powiada właściciel: „nie wezmę za niego ani grosza taniej, niż 200.000 (dwieście tysięcy *dolarów!*" Co na to odrzec? Chyba tylko, że jeśli zechce określić swą cenę w funtach, to cena będzie się wydawać przystępniejszą...

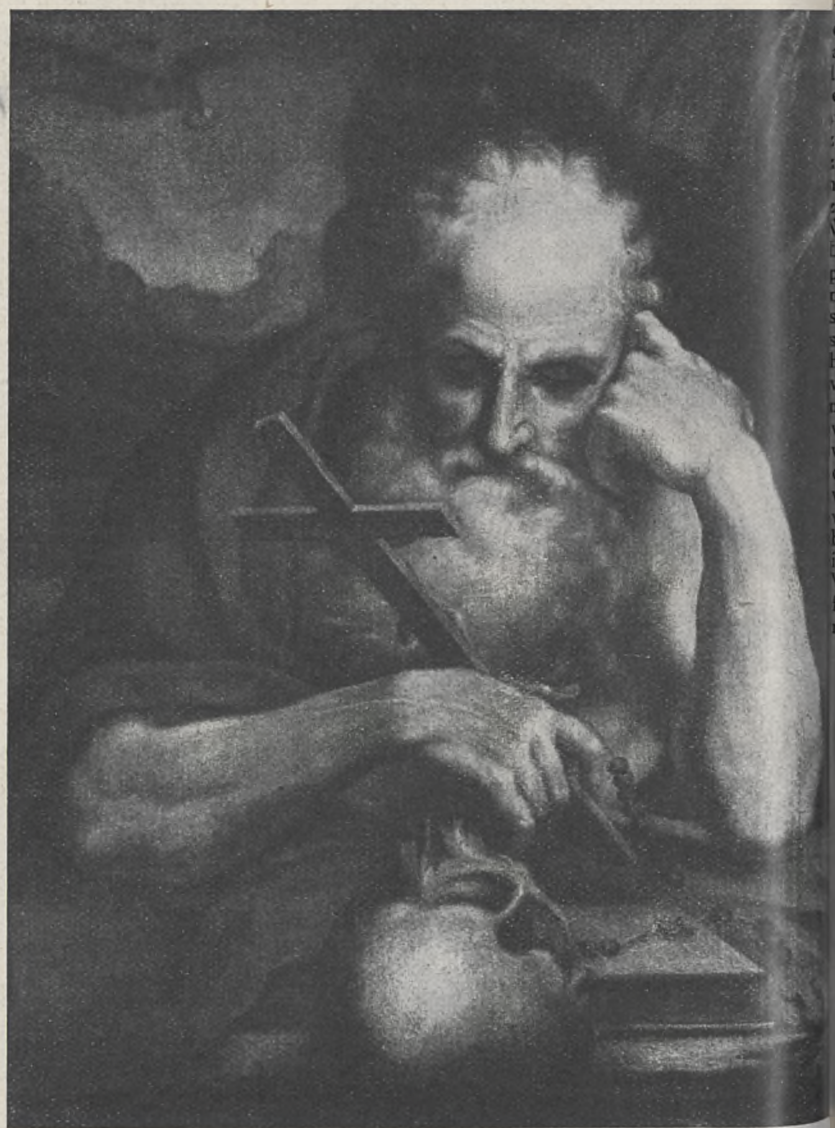
A jednak historja sztuki notuje niejeden wypadek taki, gdy wielkiej wartości dzieło sztuki było odnalezione trafem, nieomal na śmietniku. Bode (dyrektor berlińskich muzeów) w swej monografji o Leonardzie da Vinci podaje taki fakt: Wuj Napoleona I-go, kardynał Feschi, wielki miłośnik starożytności, znalazł w swych wędrówkach po Paryżu u jakiegoś handlarza obraz malowany na desce, służącej za pokrywę do skrzyni. Widząc, że to rzecz wielkiej wartości, poszukiwał reszty tej deski, postać bowiem, namalowana na desce, pozbawiona była głowy. Dotarł wreszcie do jakiegoś szewca, od którego pochodziła część sprzedana kardynałowi. Tam okazało się, że wykrajana część służyła do zastawienia potłuczonej szyby w oknie. Obie części złożono, odnowiono i oto dzisiaj Watykan jest w posiadaniu,



Leonardo da Vinci. Święty Hieronim. Podobizna słynnego obrazu wielkiego Leonarda, znajdującego się w Watykanie, na której widać dokładnie, jak wykrojona z niego była głowa świętego starca.

zdobytego tym sposobem, wartościowego obrazu, przedstawiającego św. Hieroni[...] i malowanego przez Leonarda da Vinci. Bode podaje to dzieło w reproduk[...] Pomimo troskliwego odrestaurowania widać na niem ślady przepiłowania de[...] Ale niema żadnej wątpliwości, że jest to dzieło wielkiego Leonarda. Indywidu[...]ność wielkiego genjusza wycisnęła na nim swe piętno.

Wypadki, jak powyżej opisany, możliwe są wszędzie, gdzie, oczywiś[...] docierał posiew wysokiej kultury czasów Odrodzenia. Nie jest to wykluczo[...] i w Polsce, która, za dawnych czasów, złączona była z Zachodem bliższemi węzła[...] pokrewieństwa kulturalnego, niż doba obecna pozwala mniemać. Nie mówiąc [...] wcale tutaj o znanych zbiorach wybitnych prywatnych zbieraczów, lub o galerja[...] w kilkunastu wielkopańskich pałacach, śmiem twierdzić, że w Polsce, na ant[...]kwarskim rynku handlowym, od czasu do czasu pojawiają się, choć rzadko, obraz[...] pierwszorzędnej wartości. W ciągu ostatniego dwudziestopięciolecia znalezio[...] jednego Rembrandta i jednego Duerera. Oba te dzieła wywędrowały zagranic[...] Rembrandt (przed wojną) do Wiednia, Duerer (podczas wojny), wyłowiony prz[...] znawców zagranicznych wśród mniejszej wartości obrazów — do Berlina. N[...] dawno widziałem wspaniały portret pendzla Tycjana, odpowiadający wszelki[...] najwybredniejszym wymaganiom znawców, nie mówiąc już o podpisie, któ[...] z ciemnego tła obrazu z lewej strony u góry, zdawał się przemawiać do wid[...] karminem swych wielkich liter: „Jam jest prawdziwy, autentyczny Tycjan!" [...] nie mówiąc już o podpisie (bo o tem powinno się mówić na samym końcu, g[...] wszystkie dane już rodowód obrazu stwierdzą), — obraz ten miał za sobą wszy[...]ko: i koloryt, i model, znany z innych obrazów Tycjana, i żywość ekspresji, i pew[...]ność pendzla, i bajeczne sharmonizowane z oświetleniem postaci ciemne tło obraz[...] Jeśli to nie był Tycjan, to można było zastosować do niego przysłowie z ojczyzn[...]



Święty Paweł na pustyni. Szkoła włoska XVI w. Odrestaurowane z wielkim [...]tyzmem przez ś. p. Fel. Jasińskiego dzieło to stanowi dziś ozdobę prywatnego z[...]

mistrza: *si non e vero, e ben trovato.* Bo też w istocie trzeba było Tycjana [...] tak Tycjana móc podrobić. Zresztą nie jedyny był to Tycjan w Polsce. W [...]nich czasach odnalazł się w Polsce obraz, który po odnowieniu okazał [...] cech, świadczących, że wyszedł z pracowni tego weneckiego tytana pendzla.

Ten Tycjan poszedł do Ameryki, jak zresztą bardzo wiele arcydzieł st[...] świata idzie za ocean, nietylko z Polski, pomimo wielkich obostrzeń praw[...] rejestracji i zakazów. Śmiem nawet twierdzić, że te rejestracje i zakazy są [...] nie bezpłodne, a nawet szkodliwe. Że są bezpłodne, to widać choćby z tego, [...] często zagraniczni handlarze obrazów odwiedzają nasz rynek. Przecież nie [...]wają oni dzieł sztuki dla skompletowania zbiorów krajowych. A szkodliwe [...] zakazy dlatego, że skoro wywozu dzieł sztuki z kraju uniknąć się nie da [...] w interesie bilansu handlowego jest pożądane, aby one były sprzedawane po [...] droższych cenach, co przy ryzyku połączonem z wywozem, jest niemożliwe.

A co do rejestracji, oto jak ta sprawa się u nas przedstawia: pewien [...]racz starych obrazów w Warszawie jest w posiadaniu płótna, które uważa za d[...]dajmy na to Van Dycka. Mówiąc między nami, z równem prawem mógłby [...]dzić, że ten jego obraz wyszedł z pod pendzla Watteau (gdyż jednakowy d[...] dzieli go od jednego, jak i od drugiego mistrza). W przekonaniu, że ma [...] miljonowej wartości, pisze on list do jakiejś firmy zagranicznej, opisując jej [...]go „Van Dycka" i załączając fotografję. Po pewnym czasie, wracając wieczo[...] do domu, widzi on swój skromny domek na przedmieściu, obstawiony [...] policję. „Pan się nazywa pan NN?" — „Tak jest" — odpowiada zdumiony. [...]brze, zrobimy rewizję. Gdzie pan ma obraz Van Dycka?" Mego znajomego [...]szły ciarki. Widocznie nabyłem rzecz kradzioną, pomyślał sobie. Prowadzi i[...]

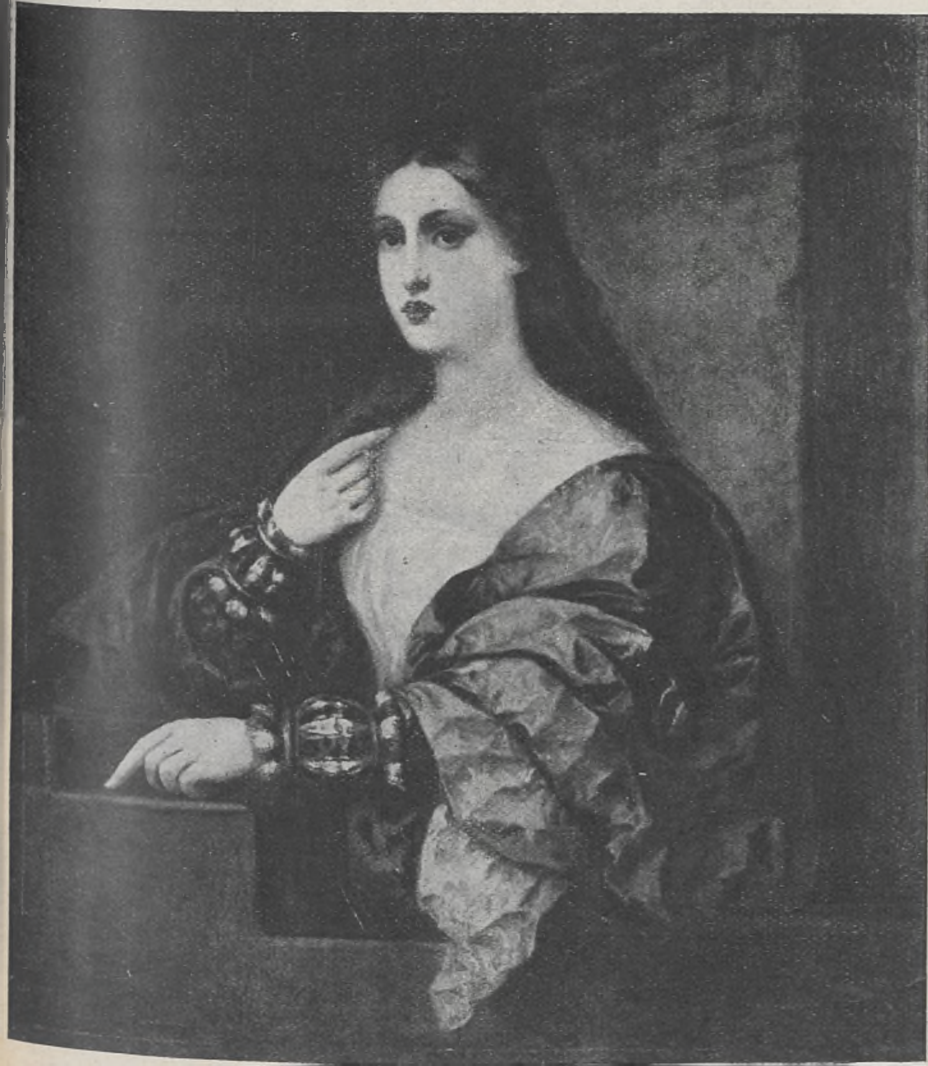
mniemanego Van Dycka. Jakiś cywilny pan, towarzyszący policji, porównywuje „arcydzieło" z fotografją, przesłaną w liście, spisuje protokuł, kładzie pieczątki na obrazie i powiada uprzejmie: „Ministerjum zabrania panu sprzedać ten obraz. Jest on, jako cenne dzieło sztuki, zarejestrowany i zaliczony do przedmiotów, których wywóz jest wzbroniony".

I oto mój znajomy, jednem okiem płacząc nad surowością przepisów, które mu nie pozwalają zrealizować ukrytej w tym skarbie fortuny, drugiem okiem się śmieje: bo przecież jest w posiadaniu certyfikatu ministerjalnego ,że to jest prawdziwy Van Dyck. A ten „Van Dyck" nie jest wart, mojem zdaniem, nawet kopji dobrego Van Dycka. Mój znajomy ma natomiast prawdziwego Lievensa (uczeń Rembrandta), którego artystyczna wartość dorównywuje dobremu Rembrandtowi.

Spryt, inteligencja, zmysł spekulacyjny, głębokie znawstwo sztuki, zarówno w ocenie artystycznej wartości, jak i techniki, wszystko to razem podało sobie ręce, aby sparaliżować skuteczność wszelkich zakazów wywozu starych obrazow z kraju. Słyszałem, że cała serja cennych obrazów wyszła z kraju w opakowaniu, jako filmy kinematograficzne. A oto sposób, który z pewnością nie został wynaleziony w Warszawie przed wojną, aby ogołocić Łazienki z dzieł sztuki: robiono poprostu dokładne kopje z obrazów, a nawet repliki z bronzów. Od kustosza, czy bodaj nawet od lokaja carskich pałaców nabywał zagraniczny handlarz obraz oryginalny, dając mu w zamian zawczasu przygotowaną po mistrzowsku kopję. Zgadzało się zatem wszystko — i liczba obrazów, i ich wymiary, a nawet fotografje umieszczone w spisie inwentarza. Wiem, że w ten sposób krótko przed wojną wywędrowały do Wiednia wspaniałe bronzy z Łazienek, a powstawiano na ich miejsce dokładne kopje. Wogóle Wiedeń uchodzi za centrum fabrykacji falsyfikatów dzieł sztuki, posiadając na tem polu nadzwyczajne talenty artystyczne, oraz szeroko rozgałęzioną organizację kupiecką. Niejeden z posiadaczów bardzo starych obrazów, malowanych bądź to na drzewie lub na płótnie, sprzedawszy swój obraz za dobrą cenę, nie domyśla się nawet, że handlarz znawca kupił ten stary bohomaz po to tylko, aby zdjąwszy z niego warstwę farby nałożonej przed paruset laty przez jakiegoś mniemanego artystę, uzyskać autentyczną starą deszczułkę dębową czy topolową lub cedrową, stoczoną przez robaki, na której jakiś genjalny podrabiacz starożytnych dzieł sztuki, wżywszy się w twórczość danego artysty, — skompletuje znane dotychczas jego dzieła przez dodanie dalszego arcydzieła. Nieraz się zdarza, że rodzinne klejnoty poddawane są podobnej operacji: wielkie cenne brylanty idą w świat,, a ich miejsce zajmują imitacje, gdy tego interes wyższy wymaga. Kto wie, czy w niejednej ze znanych prywatnych galerji wstrząśnienia wojenne nie odbiły się w podobny sposób? W celu ominięcia zakazów wywozu lub wysokich ceł wwozowych, stosowanych np. w Stanach Zjednoczonych, używany jest sposób odwrotny do powyżej opisanej kombinacji zamiennej. Jak tu kopje uchodzić mają za oryginały, tak tam znowu oryginały przybierają na siebie postać skromnych kopij. Znaną mi jest historja pewnego oryginału, przywiezionego do Polski przez ś. p. Bułhaka przez granicę sowiecką w ten sposób, że ręka usłużnego malarza, przebywającego nawet dziś jeszcze w Warszawie, zamalowała podpis „Boucher", oraz zaopatrzyła całość w parę jaskrawych defektów, aby w ten sposób uniknąć rejestracji i zakazu wywozu. Częstokroć podpis umyślnie położony jest fikcyjny w tym celu, aby zamaskować prawdziwą wartość obrazu.

W tym labiryncie podstępów, sposobów i sposobików, maskarady i udawania, jak odnaleźć prawdę, — jak dotrzeć do pewności, czy dany obraz jest oryginałem? Czy można polegać na własnem poczuciu artystycznem, jako na nieomylnym wskaźniku? Mogłoby to wystarczyć dla zaspokojenia potrzeb indywidualnych, ale nie zastąpi kryterjum objektywnego. O możności ustalenia takiego objektywnego kryterjum. t. j. zupełnie pewnej ekspertyzy możnaby zwątpić, gdyby nauka i metoda nie dawały prawie absolutnych wskaźników.

Watteau (1684—1721). Lekcja tańca. Pełny wdzięku i stylu epoki obraz powyższy stanowił do niedawna perłę zbiorów znawcy sztuki malarskiej, p. Kulikowskiego w Warszawie. Jakkolwiek niepodpisany, posiada on wszelkie cechy i wybitne zalety dzieł słynnego mistrza pendzla.



Paris, Bordone (1495—1570). Patrycjuszka wenecka XVI w. Artysta jest uczniem Tycyana, o którym mówi Macfall, że „świetny koloryt i dostojność kompozycji, delikatna różowość ciała, purpury, karmazyny i mieniące się kolory w pomiętych fałdach draperji — stanowią typowe jego zalety". Obraz ten, znajdujący się w posiadaniu prywatnem w Warszawie, nosi, niestety, wyraziste ślady nieumiejętnego restaurowania. Nabyty w Wiedniu podczas wielkiej wojny i sprowadzony do Polski, oczekuje na przywrócenie mu pierwotnej świetności.

Przegląd nowości technicznych

Flota Stanów Zjednoczonych posiada nie tylko specjalne okręty — porty lotnicze — lecz stara się zaopatrzyć w hydroplany nawet stare typy statków bojowych — nie posiadających już miejsca na pokładzie dla urządzenia lotniska, w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Gdziekolwiek znajdzie się choć odrobina miejsca, można zmontować wąską kładkę dla odskoku hydroplanu, jak to widzimy na planszy. Z kładki tej za pomocą silnych sprężyn wyrzuca się samolot w powietrze, jak kamień z katapulty. Lądowanie po skończonym locie odbywa się na wodzie, w pobliżu okrętu, który płatowiec następnie wciąga na górę i znowu ustawia w pozycji gotowej do odlotu.

Na wystawie i w biurach patentowych spotyka się coraz częściej pomysły łączące zalety samolotu i sterowca, lżejszego od powietrza. Na międzynarodowej wystawie ILA w Berlinie, rozwinięto propagandę dla nowego typu płatowca—olbrzyma, którego kadłub i skrzydła, wypełnione w odpowiednich komorach gazem, miały zrównoważyć ciężar wehikułu. Na planszy naszej widzimy pomysł „Williams Patent Corporation", łączący płatami dwa sterowce razem. Możliwe, że ten nowy model da wyniki jeszcze lepsze, niż dotychczasowe sterowce, które wiele nastręczają obaw w czasie silnej burzy i trudne są do kierowania w chwili poprzedzającej lądowanie.

W dziedznie komunikacji lądowej, autobusy salonowe coraz lepiej i skuteczniej odbierają klijentelę kolejom amerykańskim. Piętrowe te gmachy, na dzień zamieniane na wozy restauracyjne, a w nocy na sypialne, celem osiągnięcia jeszcze większej sprawności posiadają wymienne silniki. Jeśli silnik zaczyna kaprysić, można na najbliższym postoju, nieprzerywając gościom spoczynku, w ciągu 15 minut wyjąć uszkodzony i wstawić rezerwowy silnik.

Magistrat m. Berlina zakupił nowe wozy samochodowe do zamiatania ulic. Nie wiemy nic bliżej ani o ich konstrukcji, ani efekcie. Na pierwszy rzut oka przyznać trzeba, że wozy te robią imponujące wrażenie, a pojawienie się ich w czasie demonstracji ulicznych, może wywołać nieporozumienie. Trudno osądzić z fotografji jak gruba jest ta blacha i czy odporna na kule rewolwerowe — w każdym razie, gdyby jakiś „Pan Topaz" zaproponował kupno tych zamiataczek dla nas, głosowałbym za tem, by w czasie pochodów nie brały udziału.

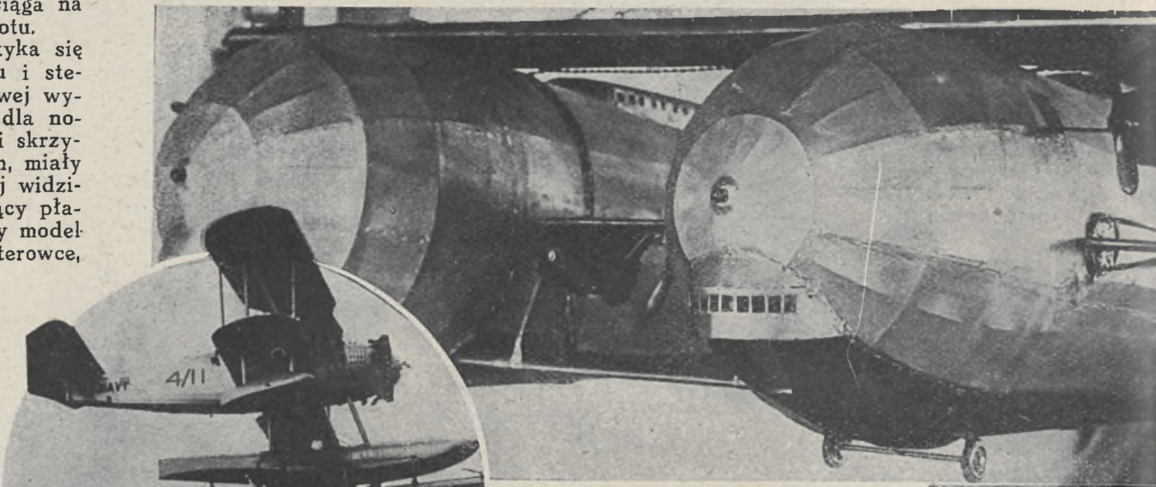
Mieszkańcy górnych pięter w drapaczach chmur, na wypadek pożaru często tracą całe swe mienie, gdyż do tych wysokości nie sięgają strugi wody ze zwykłych sikawek. W New Yorku przeprowadzono próby z nową sikawką, zaopatrzoną w lunetę, która podnosi się do górnych pięter i doprowadza wodę pod zamknięciem i ciśnieniem do takiej wysokości, że strumienie, wypływające z tego punktu, mogą skutecznie zwalczać żywioł ognia.

Od dłuższego czasu roznosi się groźny pomruk niezadowolenia wśród radjoamatorów — „w radjo nic nowego". A jednak, jak widzimy na planszy, odbiornik radjostacji w Zechlendorfie — poprostu duży amatorski odbiornik — rozbudowany jest tak potężnie, aby zawsze mieć na zawołanie stacje amerykańskie.

Pierwszego kwietnia ma wejść w użycie patent na odbiornik z anteną i głośnikiem... w kapeluszu! Artystycznie wykończonym ten pomysł nie jest, raczej humorystycznie, co nie byłoby najgorsze, bo ludzie witaliby się ze śmiechem i podawali sobie na ucho, co gdzie komu gra. Szkoda, że ten genjalny pomysł nie jest udziałem jakiej kobiety. Po pierwsze — na damskim kapeluszu między ptaszkami, różyczkami trąba taka lepiejby harmonizowała, po drugie — co moda to moda — kobiety wprowadziłyby ją w życie, a Polskie Radjo zacierałoby ręce z uciechy, że... cały kraj zostałby zradjofonizowany.

E. P.

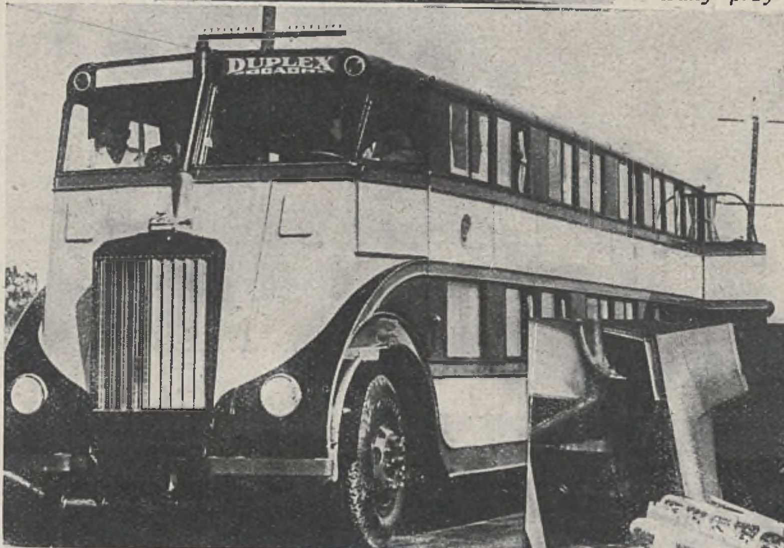




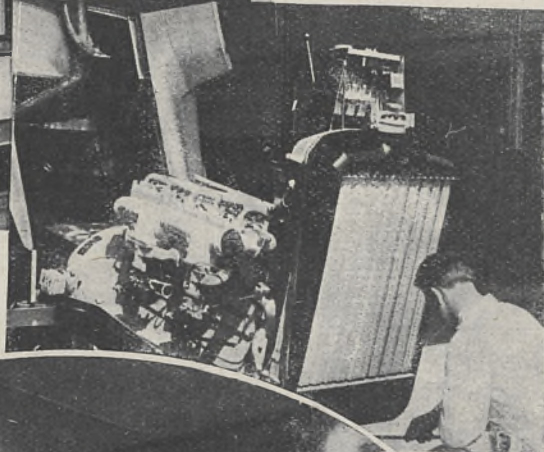
Nowy typ olbrzymiego płatowca, wystawiony w Berlinie. System zastosowany przy budowie polega na połączeniu sterowców płatem.

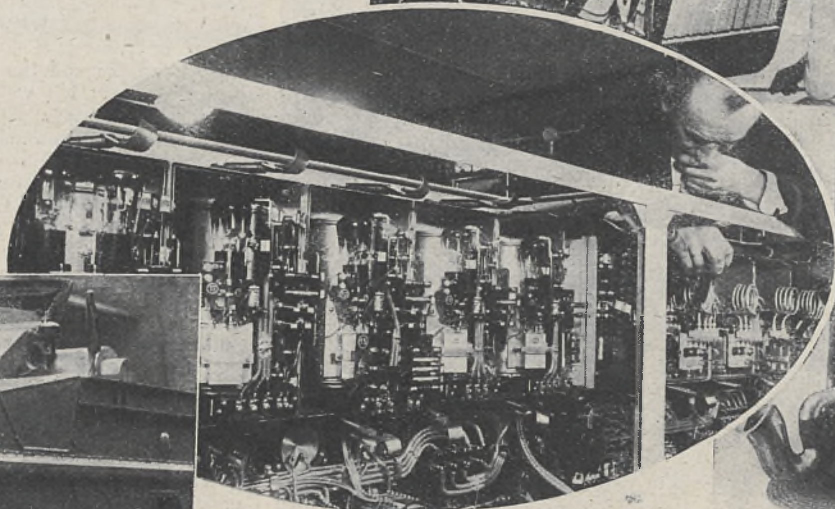
Aeroplan lądujący na krążowniku.

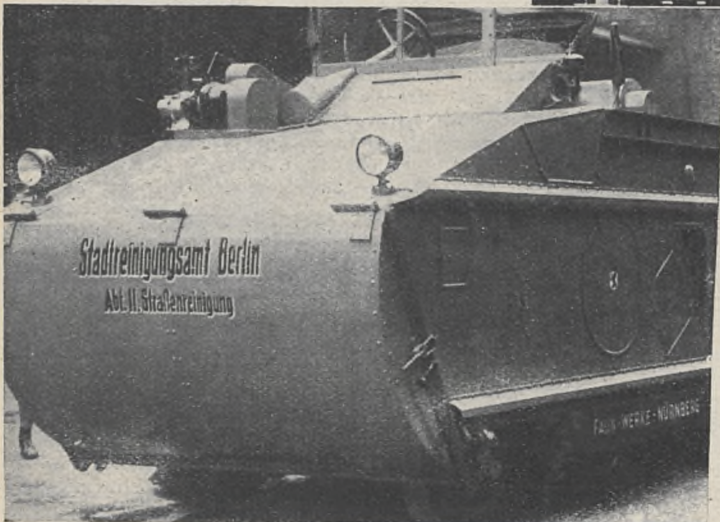
Sikawka nowego systemu, stosowana w Stanach Zjednoczonych

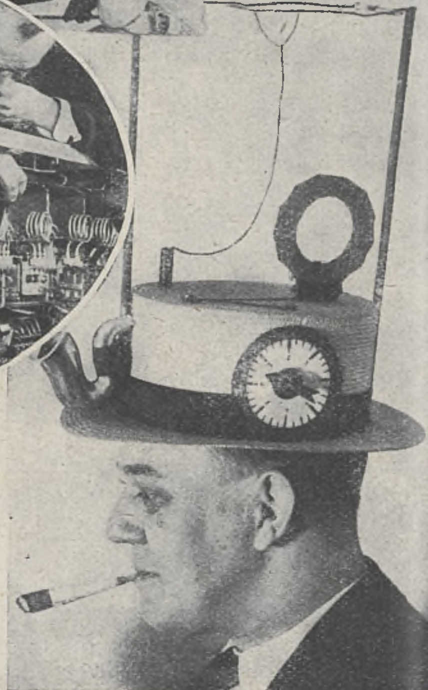


Luksusowy autobus niemiecki. Zauważyć należy system zmiany silnika.









Nowy typ zamiataczki ulicznej, zakupiony przez magistrat m. Berlina.

Odbiornik radjostacji w Zehlendorfie.

Radjo na kapeluszu — pomysł ekscentryczny i amerykański...



SAMPOL

(Dokończenie ze str. 3-ciej).

Gdy noc zapadnie, „gdy światła latarń zapłoną", rozpali się też łuna czerwonych ogni-wabików... paryskiego domu rozpusty, tu w sercu polskiego Sampolu, pod bokiem kościoła świętego Pawła mającego swoje siedlisko. Jeden z wielu podobnych „przybytków miłości" w Paryżu.

Nie trzeba tłumaczyć, kto stanowi lwią część klijenteli „giełdy miłości" na Sampolu. Ale trzeba wiedzieć i to, że tu, i gdzieindziej, niejedna dziewczyna polska sprzedaje za kilka tanich franków swoją miłość, że niejedna Bronka tędy się przewinęła.

Może robi się wam przykro, że o tem się mówi. Trudno. Bez tego obraz Sampolu byłby niezupełny.

Niejedna Stacha tutaj zmarniała, niejedna zrobiła „karjerę" i dziś jest na Champs Elysées. Jutro może będzie znów w dole, wyrzucona na śmietnik. Lecz cóż na to poradzić... już taki czas. Sampol nad niejednem już przeszedł do porządku dziennego, niejedno widział i słyszał, niejeden smutek strawił, a życie... jego życie — drobny strumyczek w ogromnej rzece miljonowego miasta — płynie dalej swoją koleją, wyznaczoną mu przez ślepy los, przypadek.

A DZIAŁO SIĘ TO W ROKU 1830

(Dokończenie ze str. 2-ej).

Lecz synowie ojcu nie wierzyli. Tragiczna to była nieufność i tragicznym był lęk, który, mimo wszystko serce ojcowskie od serc synowskich odgradzał? Ks. Konstanty który z ojcem odbył pokoronacyjną podróż po Rosji, i zdawało się, powinien był z nim zbliżyć się i pokochać, odczuwał jednak wobec ojca ustawiczny lęk, który potęgował się często do „rozpaczliwego strachu".

W r. 1799 wyruszył Ks. Konstanty po raz pierwszy na prawdziwą wojnę. Armja Suworowa udawała się do Włoch; wielki książę miał jej towarzyszyć w charakterze ochotnika, bez żadnej specjalnej nominacji; udał się w podróż pod nazwiskiem hrabiego Romanowa i przedewszystkiem odwiedził w Mitawie brata ściętego Ludwika XVI, którego, jako Ludwika XVIII, państwa europejskie uznawały wtedy za króla francuskiego.

Dalsza jego podróż była podobną do pochodu triumfalnego. Na granicy Austrji nie był już hrabią Romanowem, był znowu w. księciem rosyjskim, przedstawicielem potęgi, uznawanej za największą i niezwalczoną, o której sądzono, że zdolna jest pokonać genjusz Napoleona. Przyjmowano go też po królewsku, z niesłychanemi honorami, ze względami należnemi udzielnemu władcy, a cesarz austrjacki zamianował go natychmiast jenerałem i szefem jednego z najświetniejszych pułków huzarskich.

W. książę szybko przywykł do życia w „przywilejach". „Przywilej" towarzyszył mu wszędzie. Był w obozie i przy boku Suworowa, był nawet wśród grozy i bitwy. Dzięki tym przywilejom całe życie stawało się jakby nierzeczywiste, wyjątkowe, łatwe. Otoczony wspaniałą, także uprzywilejowaną, świtą przyjmował raporty Suworowa, który wtedy był przecież naczelnym wodzem wszystkich sprzymierzonych armji, no, i bez zbytniego trudu zdobywał pochwały za męstwo i wojenne czyny. W każdym razie brał czynny udział w włosko-szwajcarskiej kampanji Suworowa, i nieraz wykazał osobiste męstwo.

„Okryty chwałą" powrócił w. książę pod koniec roku (1799) do Petersburga. Uroczyście powitał go sam car Paweł, odbyły się niezliczone bale i zabawy, a w teatrze w Ermitażu wystawiono nowy balet pod tytułem: „Le retour de Peloctète".

(D. c. n.)

WSPÓŁCZESNY GENJUSZ FINANSOWY

(Dokończenie ze str. 4-tej).

Wchodzi jako główny wspólnik do kopalń rudy żelaznej w Kolonji. Zakłada walcownie żelaza, odkupuje od Karola Schlieppera fabryki łańcuchów w Grüne nad Iserlohn. Wreszcie, korzystając z blokady brzegów niemieckich przez flotę koalicji, a tem samem z krachu finansowego wielu firm okrętowych, wchodzi jako udziałowiec do Hamburg - Amerika - Linie, Wörman Linie i Deutsch-Ostafrika-Linie. Nabywa starą firmę H. W. Heidtmanna w Hamburgu, transportującą węgiel zagranicę. Zakupuje we Flensburgu największe stocznie okrętowe na wschodniem wybrzeżu i buduje natychmiast w Kielu i innych miejscowościach 11 okrętów.

Po skończonej wojnie Hugo Stinnes zostaje zaaresztowany przez radę robotniczą i żołnierską w Milhuzie. Jednakże miejscowa izba handlowa posyła natychmiast telegraficzny protest do centrali berlińskiej, skąd przychodzi rozkaz uwolnienia Stinnesa i pozostawienia go nadal na czele przedsiębiorstwa. Stinnes, nie zważając na rewolucję, prowadzi dalej swoje interesy finansowe, które osiągają obecnie swój punkt kulminacyjny. Zwiększająca się inflacja, a co za tem idzie, stałe obniżanie się wartości pieniądza, pozwalają Stinnesowi kupować za bezcen całe kompleksy fabryk i kopalń. Będąc multimiljonerem, cieszy się u wszystkich bezwzględnem zaufaniem, to też kupuje na kredyt, płacąc po pewnym czasie umówioną w kontrakcie sumę pieniędzmi, nie przedstawiającemi nawet połowy poprzedniej wartości.

W tym czasie należy zanotować dwa niepowodzenia Stinnesa, które jednak niewpłynęły absolutnie na jego prestige finansowe. Mianowicie, Sitnnes, zapragnął opanować żeglugę morską i komunikację lądową. Jednakże towarzystwa okrętowe w Hamburgu, które odniosły zwycięstwo nad Morganem, niemiały wcale zamiaru poddać się zaborczej polityce Stinnesa. Stinnes jednak nie rezygnuje tak łatwo i zakłada własną linję pod nazwą: „Hugo - Stinnes - Linien". Jego okręty posiadały na czarno - biało - niebieskiej fladze dwa skrzyżowane młoty górnicze i inicjały „H. St.". Flota wynosiła 120.000 tonn. Atak na koleje niemieckie rozpoczął Stinnes za pośrednictwem prasy. Kupiwszy *„Deutsche Allgemeine Zeitung"* zaczyna gwałtownie występować przeciwko deficytowej gospodarce kolei państwowych, widząc jedyny ratunek w oddaniu kolei przedsiębiorstwu prywatnemu. Na myśli miał oczywiście siebie. W akcji tej gorliwie dopomagał Stinnesowi dawny dyrektor Kruppa, organizator całej prawicowej nacjonalistycznej prasy, Hugenberg. Pomimo wysiłków obu potentatów prasowych z jednej strony, oraz spadku waluty niemieckiej z drugiej, a co zatem idzie konieczności dopływu prywatnych kapitałów do skarbu państwa, koleje zostają w gospodarce państwowej. Szczególnie ciekawą jest rzeczą fakt ekspansji Stinnesa zagranicą w okresie dewaluacji. Nikt nie wiedział i możliwie nikt się nie dowie w jaki sposób Stinnes zdobywał dewizy, których w kraju zupełnie nie można było dostać. W każdym bądź razie należy stwierdzić, że okres inflacji łączy się z największemi inwestycjami Stinnesa zagranicę. Na krótko przed swoją śmiercią Stinnes posiadał 572 fabryki we wszystkich gałęziach przemysłu: z tego 89 w Austrji, 35 w Czechosłowacji, 29 na Węgrzech, 47 na Bałkanach, 19 w Rosji, 41 w Polsce i w. m. Gdańsku, 40 w krajach bałtyckich, 43 w Skandynawji, 12 w Anglji, 31 w Holandji, 17 w Belgji i Luxemburgu, 20 we Francji, 17 w Szwajcarji, 31 we Włoszech, 3 w Hiszpanji, 8 w Portugalji, 7 w Północnej Ameryce, 48 w Środkowej i Południowej Ameryce, 4 w Japonji, 5 w Chinach, 10 na wyspach oceanu Indyjskiego i morza Południowego, 8 w Małej Azji i Persji oraz 6 w Afryce.

Stinnes zmarł 10 kwietnia 1924 r. w wieku lat 54 podczas operacji na kamienie żółciowe. Z jego wielkiego koncernu nie pozostało nic. Długi, jakie porobili bracia Stinnesa, po jego śmierci, pochłonęły cały olbrzymi majątek, który był sprzedany wierzycielom zabezcen. Pomimo to do dziś dnia z nazwiskiem potomka Hugo Stinnesa, łączy się pojęcie fortuny i złota.

(g.)

Nagrody na „Konkurs rozwiązań"

Ogólna wartość nagród, przeznaczona na „Konkurs Rozwiązań" wynosi sumę 300 zł.

Z powodu braku miejsca, szczegółowy spis nagród podamy w następnym numerze

MAURYCY DEKOBRA.

Amerykańskie Amazonki

II.

JEJ KRÓLEWSKA MOŚĆ — MILJONERKA

Mam tu na myśli tak zwaną *Social leader*. Należy do najwyższej elity. Dyktuje dobry ton i ultra wytworność. Nazwisko jej figuruje w *Social Registery*, w którym mieszczą się adresy największych potentatów i arbitrów wszelkich snobizmów. Kim jest jej mąż? Prezesem banku, a może stoi na czele fabryki gumy do żucia lub samochodów, lub wreszcie jest królem konserw... Wszystko jedno. Dość, że posiada miljony. Gdzie zamieszkuje? Aż na 2-ch piętrach najwyższych takiego ot sobie 16-piętrowego drapacza na Park Avenue (czynsz 600.000 fr., nie licząc napiwków windziarzy). Może też mieszkać we własnym pałacyku, będącym, rzecz prosta, minjaturą jakiegoś tam pałacu z nad Loary lub z Florencji — obowiązkowo jednak pomiędzy 59 a 90-ą ulicą przy 5-th Avenue.

Przeciętna *social leader* posiada 3 kolje i dwa olbrzymie szmaragdy, które poddane zostały ocenie samego nawet wielkiego Cartiera; posiada — a jakże — dwa pieski pekińskie, co lubią, ot tak sobie, węszyć po salonach i „wystawiać" intruza, a jeślić to, broń Boże, finansista podejrzany — schwytać ząbkami za połę, lub, co nawet przyjemniejsze — za łydkę; do świty również należy i skrzypek, smętny jugosłowianin, którym pani domu lubi pochwalić się przed gośćmi, powtarzając wszystkim, że sfinansowała kilka jego koncertów w Carnegie Hallu; masażysta, co różne praktyki wyczyniał na dostojnem ciele samej królowej Rumunji, ma specjalność plotek; sekretarka musi być *au courant* wędrówek do Ameryki ludzi z tamtego kontynentu i znać na wyrywki rozkład zaproszeń w wielkim świecie; zaufany *bootleger*, za nic sobie mając zakazy władz, zaopatruje miljonerkę w *extradry* i *Fine Napoleon;* manicurzystka zdradza przed nią plany i zamierzenia innych *social leaders*, a wreszcie jest w świecie i taki specjalista, który ma za zadanie tropienie pana męża i demaskowania tajników jego życia intymnego.

I oto pewnego cudnego wieczora, który, jak to często bywa w Ameryce, poświęciliśmy nie prohibicji, zostałem zaszczycony zwierzeniami jednej ze znajomych *social leaders*. Leżeliśmy obok siebie w zacisznem *speak easy**) na porozrzuconych po podłodze poduszkach.

Popijaliśmy szampana, przeplatając cudny ten nektar niemniej cudną chartreusą. Nadmienię dla orjentacji, że towarzyszka moja, piękny „balzac" o kruczych kudełkach, była żoną pewnego bankiera z Wall-Street, który w wolnych chwilach od spekulacji na General Motors'ach lub United Steel'ach, lubił — mój Boże — popierać sztukę dramatyczną. Na czem to polegało — ot poprostu, i to najważniejsze, na finansowaniu paru *producers'ów*, którym polecał to tę, to inną młodą przyszłą gwiazdę.

Popijając szampana i wzdychając żałośnie, miljonerka otworzyła przedemną swą duszę:

— Czy myśli pan, że to szczyt szczęścia być żoną zbyt bogatego człowieka?... Mój Teddy znów stracił 25.000 dolarów...

— W karty?...

— Gdybyż to?! Dał się nabrać. Doniesiono mi o tem dziś rano. I chociaż dobrze go znam, wie pan, że głęboko zostałam dotknięta. Wiem, że Teddy jest niepoprawny. Przyznałam mu budżet do 50.000 dolarów rocznie na pokrycie różnych kawałów, wynikających, w większej części, ze słabości, którą okazuje girlsom. Teddy ma 58 lat. Musi się wyszumieć... Ale przyzna pan, że 25.000 dolarów — jednym kuszem, to przecież przesada!

— Ależ sztuka... — próbowałem bronić Teddy'ego.

Sztuka! Zawracanie głowy! Niech pan lepiej posłucha, jak to było. Otóż wpadła mu w oko pewna girl od Ziegfelda, dziewczyna — rzecz prosta — o anielskiem spojrzeniu. Zaprosił ją na *week end* na swój yacht i obiecał, że w przyszłym programie Palace'u otrzyma pierwszą rolę w *Fifty Million Freshmen*. Dyrektor teatru jednak okazał się mniejszym entuzjastą. „Zatrzymaj pan sobie swego skrzata. Co mam z nią robić — śpiewa, jak grzechotka..." A nazajutrz znalazł się adwokacina z tej kategorji, którą nazywamy „obrońcami 50/50" i wnosi skargę... 50.000 dolarów za uwiedzenie dziewczęcia o anielskiem spojrzeniu, w razie zaś odmowy — komunikacik do prasy. Teddy stargował się do 25.000. I oto widzi pan, jak to u nas, niewinny skrzat z oczami jak bławatki, lecz przebiegły jak stary lis, może zarobić 600.000 franków!

Nie przejąłem się zbytnio tragicznem przejściem małżonka mojej towarzyszki, bo zresztą zauważyłem, że i ona sama nie wiele sobie z tego robi. Przez kilka minut uwagę swoją poświęciła naukowemu spreparowaniu tak zwanego „jedwabistego sztyletu", czyli zmieszaniu w równych częściach gin'u, chartreusy i wódki, do czego dadać należy łyżkę bitej śmietany. Cudnie to wykonała, wypiła, poczem, jakby mowy nie było o wyczynach niepoprawnego Teddy'ego, zapytała:

— Posłuchaj pan, darling, co mam zrobić w takim wypadku? Wybieram się w przyszły wtorek do Palm Beach... Chcę urządzić w naszej willi zabawę i pobić o 10 długości Mrs Ellaline Russel, o której przyjęciu tyle mówiono w *Town Topics*... Niech mi pan poradzi coś nowego. *Pyjama - parties*, kwartet na czterech fortepianach, Maurice Chevalier za 1000 dolarów od piosenki — wszystko to już było. Coby tu można pokazać nowego?

— Byleby nie było banalne?... Hm... A gdyby tak urządzić samobójstwo — o 2-ej rano, na środku gazonu, w świetle jupiterów. Weźmie pani jakiegoś biedaka—przecież i tacy muszą tu być w waszym raju, zwłaszcza po krachu giełdowym na jesieni — i umówimy się, że typ ów przestrzeli sobie ramię. Zagwarantuje mu pani koszty kuracji, no, a po wyzdrowieniu, posadę, powiedzmy — szofera. Reporterzy napiszą wnet niebywały romans, którego pani, oczywiście, byłaby bohaterką i w ciągu przynajmniej pół roku wszyscy mówiliby tylko o sensacyjnem pani przyjęciu.

Social leader wzruszyła ramionami.

— Nie złe, ale może trochę zanadto makabryczne... Czy nie możnaby pomyśleć o czemś weselszem?

— Mam! Doskonała myśl... Dziewczę o anielskiem spojrzeniu, ta, co wykiwała pani małżonka, nabierając na debjut i 25.000... Zaśpiewał, jak tylko tego chciała... Dlaczegoby pani tym razem nie zaangażowała jej do zaśpiewania na pani wieczorze?

Spojrzała na mnie, uradowana. Trzasnęła palcami, niczem tancerka meksykańska i zawołała:

— Wspaniałe!... Mam nawet lepszą myśl... Teddy zapłacił 8.000 w r. 1927 pewnej blondyneczce, która chciała grać rolę Lady Macbeth, w Cort Theatre; 15.000 w r. 1928 pewnej czarnuszce, która chciała wystąpić z popisem tanecznym w *Rose Mary;* 20.000 w zeszłym roku pewnej wysmukłej Kanadyjce, której obiecał, że zagra Tomcia Paluszka w pantominie... Odszukam ich adresy, postaram się o odpowiedni program i wszystkie zaproszę do wystąpienia na moim wieczorze. Teddy dostanie chyba żółtaczki ze złości. Goście uśmieją się serdecznie, a ja najwięcej...

Miła moja miljonerka nie posiadała się z radości.

— *Good!... Good!... Splendid!...*

— A wie pani co najlepsze? Teddy za wszystko już zgóry zapłacił...



Miljonerka. (Photoplat).

*) *Speak-easy* — dosłownie: mów cicho — jest nazwą przytulnych barów, w których, poza wodą sodową i lemoniadą, można otrzymać wszelkiego rodzaju spirytualja. Adresów udziela uprzejma policja.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (12)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W Nizzy odbywa się kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. W wyniku narad zachodzi obawa, że na skutek tajnego porozumienia się Niemców i Japonji, oraz przy interwencji przekupionego barona Funderstroma, Ameryka nie zostanie zaproszona. Grant Slattery, przyjaciel lorda, organizuje na swym prywatnym yachcie wycieczkę, na którą zaprasza przedstawiciela Niemiec i barona Funderstroma. Symulując popsucie się maszyn, nie może powrócić na czas do Monako, by jego goście wzięli udział w głosowaniu nad zaproszeniem Ameryki.

Nazajutrz rano, kilka minut po dziesiątej, dała syrena „Szarej Damy" znak do odjazdu. Na pomoście znajdował się zwykły tłum gapiów, przyglądających się odjeżdżającym statkom, a nieco z boku lord Yeovil, żegnający Granta. Premjer był wciąż jeszcze wzburzony z powodu przemówienia Blunna. — Nie mogę pojąć dziś jeszcze, jakie myśli i projekty leżą na dnie jego mózgu — zwierzał się swemu młodemu przyjacielowi.

— Powiem panu, co o tem sądzę — odpowiedział Grant. — Nie ulega wątpliwości, że całe to przemówienie obiegnie dookoła prasę Stanów Zjednoczonych. Widzę nawet już odpowiedni przykrojony sensacyjny tytuł: Korneljusz Blunn, wielki magnat i właściciel trustu okrętowego niemieckiego, gości u siebie premjera Wielkiej Brytanji i wydaje bankiet na cześć idei przyłączenia Ameryki do międzynarodowego traktatu.... Oto, co obwieści czytelnikom nasza prasa. Oczywiście, że to będzie świetna propaganda na rzecz Niemiec. Niestety, nasze siły wyborcze niezawsze idą w parze z opinją przezornych i rozsądnych obywateli. Ale cóż? Jedno zwycięstwo jest nasze, postaramy się wygrać i drugą bitwę w obrębie naszego parlamentu.

— Wiem, Grant, że ta sprawa leży panu na sercu i to dodaje mi otuchy w pracy nad powszechnym pokojem świata. Jeżeli jednakże nasze nadzieje zawiodą, to wycofam się zupełnie z polityki. Odmowa Stanów Zjednoczonych przy obecnych warunkach będzie dla mnie czemś więcej, niż afrontem.

— Milordzie — odpowiedział Grant z zapałem — jestem Amerykaninem i dumny jestem z mego kraju. Udaję tam coprawda gnuśnego miljonera, ale Bóg mi świadkiem, że nigdy nie byłem tak zapracowany, jak obecnie. Wiem, że w ciągu sześciu miesięcy będę musiał stoczyć wielką walkę, lecz wierzę, że uda mi się moim rodakom odsłonić prawdę i wyjawić im tajemnicę spisku przeciw Ameryce. Jeżeli zwyciężę, przybędę natychmiast do Europy, by złożyć państwu wizytę.

Lord Yeovil wyciągnął do Granta rękę. Myśli ich zetknęły się na tym samym przedmiocie. Jak przez sen ujrzał Grant czarujący uśmiech lady Zuzanny.

— Moje najlepsze życzenia towarzyszyć panu będą w drodze — rzekł lord Yeovil, serdecznie.

Grant zeszedł na pokład, skinął jeszcze lordowi ręką na pożegnanie i statek ruszył. Wyjeżdżali powoli z portu. Oddalali się szybko od tego wyśnionego zakątka Europy, wiecznie strojnego i beztrosko uśmiechniętego. Szybko znikały urocze wille i bogata fasada Casina. Grant odetchnął z ulgą, gdy wszystko zatarło się w szarą linję wybrzeża. Miał teraz przed sobą dziesięć dni wypoczynku, dziesięć dni czasu do uporządkowania myśli i przygotowania do nowego pola walki.

Zjadł wcześnie lunch, zdrzemnął się chwilę, trochę poczytał gazety i udał się do inżyniera, by omówić z nim sprawę zapasu węgla. Obliczali ostrożnie i doszli do wniosku, że zatrzymanie się w Gibraltarze będzie zupełnie zbyteczne. Było mu nagle spieszno, aby ujrzeć przyjaciół z Waszyngtonu. Silniej niż kiedykolwiek przemówiła doń potęga Oceanu i poczuł się nagle dziwnie samotny. To rzadko nawiedzające go uczucie owładnęło nim całkowicie pod wieczór, kiedy sam jeden jadł na pokładzie obiad i wpatrywał się w migocące na niebie gwiazdy. Wcześniej niż kiedykolwiek udał się na spoczynek. W nocy prześladowały go jakieś dźwięki, które jednak były zbyt słabe, by go zbudzić. Nazajutrz wziął, jak zwykle, ciepłą i zimną kąpiel i udał się w kierunku pokładu. Ujrzał przed sobą Gertrudę w tej samej czarnej, jedwabnej toalecie i pantofelkach, naszywanych brylantami, w których zjawiła się na bankiet, wydany przez Blunna. Twarz jej tylko była śmiertelnie blada, a oczy zmęczone i zapłakane.

ROZDZIAŁ XX.

— Grant, chciałabym prosić o moje rzeczy.

— Czy to możliwe? Jak się pani tu dostała?

— To było bardzo trudne, ale jakoś miałam trochę szczęścia. Czy mogłabym dostać trochę kawy lub czegoś do jedzenia. Nie miałam nic w ustach, odkąd jestem na pokładzie.

— Kiedyż to się stało?

— Wczoraj, o czwartej nad ranem. Jestem strasznie głodna. Całą noc płakałam i bałam się, żeby cię nie zbudzić.

— Wielki Boże! Chodź do mojej kabiny. Nie chciałbym, żeby cię tak widzieli.

Poszła za nim. Spoglądał z dziwnem uczuciem, jak opadła na fotel. Zamknął starannie drzwi i stanął przy niej.

— Powiedz, jak to było? — zapytał.

— Kiedy wróciłam wczoraj z moim mężem, o czwartej nad ranem, po dwugodzinnej obowiązkowej grze w ruletę, Otto potraktował mnie tak brutalnie, że czułam, że dłużej go nie zniosę. Nie mogłam znieść również myśli, że odjeżdżasz. Kiedy Otto udał się na spoczynek, zbudziłam szybko moją pokojówkę, którą przekupiłam czem mogłam, kazałam spakować dla mnie małą walizeczkę i pod twoim adresem odesłać na statek. Przyszłam sama na pokład z szeregiem innych rzeczy, które muszą się jeszcze tu gdzieś znajdować. Pożyczyłam sobie płaszcz szoferski i czapkę, która zasłoniła mi twarz. Wałęsałam się godzinę po dokach, szukając możliwości wślizgnięcia się na twój statek. Wreszcie udało mi się wejść niepostrzeżenie. Strasznie mi biło serce. Ukrywałam się kilka razy za drzwiami, wreszcie wślizgnęłam się do pustej kabiny, o której wiedziałam, że rezerwowana jest dla gości i nieużywana przez nikogo. Zamknęłam drzwi i rzuciłam się na kanapę. Było to wczoraj, koło piątej nad ranem. Słyszałam, jak przychodzili tu się żegnać, słyszałam nawet głos lorda Yeovil. Przeżywałam chwile strasznej obawy, że mnie tu znajdą. Nagle usłyszałam szelest wody i ruch maszyn. Nie miałam wciąż jeszcze odwagi wstać, gdyż wciąż jeszcze się bałam...

— Bałaś się? — spytał machinalnie.

— Bałam się, abyś nie odesłał mnie z powrotem. Wiedziałam, że uratować mnie może tylko czas, dla tego chciałam jak najdłużej być niewidzialną. Ale w nocy opadłam już zupełnie z sił. Starałam się zasnąć, ale wciąż mimowoli płakałam. Dziś rano, skoro tylko usłyszałam twój głos, wstałam natychmiast i weszłam na schody, by cię spotkać. Oto jestem. Grant, nie będziesz chyba dla mnie okrutny?

Grant nacisnął dzwonek.

— Proszę przysłać tu kawę i omlet — rzekł do osłupiałego ze zdziwienia steewarda.

— Grant, nie opuszczaj mnie... Jeżeli chcesz wylądować mnie gdziekolwiek, to zabij mnie przedtem — błagała histerycznie, gdy zostali sami. — Czemu patrzysz na mnie tak dziwnym wzrokiem?

— Zamyśliłem się, Gertrudo — odpowiedział.

— Grant, kiedyś przecież zależało ci na mnie, wiem, że możesz mnie w tej chwili znienawidzieć, lecz miej litość nade mną... Nie mogłam już wytrzymać z Ottem. Odezwij się, Grant. Patrz, jakie mam zimne ręce. Bądź dla mnie dobry.

— A któż mógłby być złym dla ciebie. Popełniłaś tylko pewną lekkomyślność, z której zdać sobie musisz sprawę.

Ujął na chwilę jej ręce. Pojawił się steeward z kawą i chłopiec z omletem i zimnem mięsem. Grant poczuł się jakby zbity z tropu. Zawrócił w kierunku drzwi.

— Muszę opuścić cię na chwilę, Gertrudo, a ty powinnaś teraz koniecznie napić się kawy i pomyśleć o zjedzeniu czegokolwiek. Poszukam twoich rzeczy, każę je zanieść do ciebie i przygotować ci kąpiel. Nie możemy rozmawiać, póki nie wrócisz do siebie.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Zrobię wszystko, co każesz, Grant.

— Więc napij się przedewszystkiem kawy, póki jest gorąca — nastawał.

Poszedł na pokład. Zdawało mu się, że świat cały się zmienił, że jest na innym yachcie, nie na tym samym pokładzie, po którym przechadzał się przed chwilą. Z trudem porządkował rozpierzchłe myśli i starał się nadać im prawidłowy bieg. A więc Gertruda była na jego statku od chwili, gdy opuściła wraz z mężem wspaniałe przyjęcie u Blunna, to znaczy już przeszło dobę. Przez ten czas prawdopodobnie wszyscy w Monte Carlo domyślili się jej ucieczki, domyślila się więc napewno i „ona". Nikt przecież nie zna prawdy i nikt jej się nie dowie, tembardziej nie przeniknie jej Zuzanna. Nie było dla niego żadnej ucieczki, żadnego usprawiedliwienia. Został z nią teraz sam na morzu, bez możności usprawiedliwienia się przed światem, a zwłaszcza przed „nią", taką delikatną i młodą dziewczyną. Ogarnął go bezsilny gniew. Lecz nagle się opanował. Przypomniał sobie błagające spojrzenie Gertrudy, spojrzenie bezradne, spojrzenie rannego psa, szukającego współczujących oczu swego pana. Cóż miał teraz począć?

Wrócił do siebie i zawołał służącego:

— Brookes, czy wiedziałeś o obecności pewnej damy na statku?

— Nie panie, dowiedziałem się o tem dopiero przed chwilą, kiedy zauważyłem tę panią, idącą po schodach.

— Czy napewno nikt nie wzmiankował ci nic o jej obecności?

— Nie, panie.

— Podobno przysłała tu jakąś walizkę z rzeczami, zaadresowaną do mnie. Proszę ją znaleźć, Brookes, i odesłać do kabiny pani. Trzeba też przygotować kąpiel i dbać o wygody pani. Lunch będziemy jedli oboje w jadalni.

— Słucham pana — odpowiedział służący.

Grant udał się na chwilę na pokład. Kapitan odnalazł go w chwili, gdy pilnie studjował mapę morską.

— Kiedy przybędziemy do Gibraltaru, Martin?— zagadnął go.

— W niedzielę rano, sir, o której godzinie pan rozkaże. Chociaż melduję raz jeszcze, że w węgiel jesteśmy dostatecznie zaopatrzeni.

— Zakomunikuję wam raz jeszcze moją decyzję, Martin.

Gibraltar! Toż to znów było beznadziejne miejsce. Jakże można ją tam zostawić samą, pomiędzy obcymi. Madera? To jeszcze gorsze. Więc dopiero w New-Yorku? Miał przed sobą osiem dni pobytu na okręcie w towarzystwie kobiety, którą kiedyś kochał tak gorąco. Miał jeszcze w pamięci jej pocałunki. Nie, to było wszystko beznadziejne. Jego planowe i celowe zachowanie się wobec niej w Monte Carlo mogło przecież wzbudzić w obecnej jego sytuacji pewne podejrzenia. Nikt na świecie nie uwierzy, że jest bez winy. Jakaś djabelska sztuczka, którą mu los spłatał!

Wrócił na pokład na kilka chwil przed lunchem. Zastał Gertrudę, siedzącą na fotelu wypoczętą już i wyświeżoną. To była znów inna zupełnie Gertruda. Miała na sobie kostjum z białej wełny i była „soignée" i starannie ubrana, jakby miała przy sobie swą pokojówkę. Włosy jej nabrały w słońcu zwykłego ciepła i miękkości.

Brookes przyniósł na tacy dwa cocktaile. Podniosła do ust jeden z nich i uśmiechnęła się do swego zafrasowanego gospodarza.

— Jestem teraz taka szczęśliwa, Grant — wyszeptała z wdzięcznością.

Wziął ją pod rękę i zaprowadził do ślicznej małej jadalni. Spojrzała na niego ze wzruszeniem:

— Nie przypuszczałam, że wrócę tu tak prędko — wyszeptała.

— Ani ja — odpowiedział.

— Straciłam tego wieczoru na yachcie znaczną część z tego tragi-komicznego widowiska. Twoja młoda znajoma, lady Zuzanna, wygrała ostatecznie tę walkę, prawda?

— Istotnie — potwierdził Grant — doprowadziła najmłodszego z pośród moich marynarzy do porządku. Mam wrażenie, że to jej mamy do zawdzięczenia wniosek o zaproszeniu Ameryki do paktu. Funderstrom głosowałby przeciw wniosko wi i moja obecna podróż do Ameryki nie doszłaby wcale do skutku.

— Uniknąłby pan dzisiejszej, przykrej niespodzianki na statku.

Lunch dobiegał końca i Grant kazał na pokładzie podać kawę.

— Aby uniknąć rozmów osobistych, chciałabym się dowiedzieć, co będziesz robić w Ameryce, Grant? — zapytała z wymuszoną wesołością.

— Znajdę robotę — brzmiała odpowiedź.

— Widzisz, Grant, cała przyjazna mowa, którą wypowiedział Blunn na bankiecie, była ordynarnym bluffem. Domyślasz się chyba, że postara się w senacie amerykańskim, aby odrzucono zaproszenie kongresu. Nie możesz nawet przypuszczać, jak daleko posuwa się ich obłuda.

— Sądzę, że trochę domyśliłem się o co im chodzi. Nie wiem tylko jeszcze dokładnie, jaką bronią walczyć będą w moim kraju.

— Znam dobrze ich metody walki. Napatrzyłam się dosyć tego w Berlinie. Propaganda przedewszystkiem. Napewno są już oni wszyscy przygotowani. Kogo nie da się przekonać, tego się przekupi.

Twarz Granta spoważniała jeszcze bardziej:

— Wiem dobrze, niestety, co znaczy walka polityczna w moim kraju.

Kazał jej napić się kawy i położyć się na leżaku. Sam spędził popołudnie w niepokoju. Sytuacja męczyła go w sposób niesłychany. Był mężczyzną o niezłomnych postanowieniach i człowiekiem konsekwentnych zasad. Mimo to patrzał na swą niespodzianą przygodę z różnych punktów widzenia. Były chwile, kiedy budziła się dawna serdeczność dla Gertrudy, kiedy starał się uspokoić ją i rozweselić i zapewnić jakby o niecałkowicie zgasłem do niej przywiązaniu. Lecz natychmiast wzdrygał się ze strachu na myśl, że mógłby być nieprawidłowo zrozumiany. Ryzykowałby przecież swe własne szczęście i wystawiłby na próbę uczucia Zuzanny, tej miłej, młodziutkiej dziewczyny. Czyż warto zburzyć gmach wspólnych uczuć jedynie przez litość dla tej, którą kiedyś kochał?

Przy obiedzie rozpoczęła się ponowna udręka. Gertruda była tak piękna w swej prostej, czarnej sukni, że zjednać mogła sobie nawet najtwardsze serce. Piła więcej szampana, niż zwykle i odzyskała coś nie coś ze swego wrodzonego humoru. Nie była już nieśmiała i zalękniona. Gdy usiedli na pokładzie, gdzie podawano czarną kawę i likiery, rozmowa ich zaczęła się dziwnie plątać i załamywać. Pochyliła się nad nim i nagle schwyciła jego ręce.

— Grant — szeptała błagalnie — bądź dla mnie choć trochę czulszy wbrew twym postanowieniom. Jesteśmy tu sami... Nikt się nie dowie... Pocałuj mnie choć jeden raz.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocznł jej usta na swoich. Owładnęła nim dziwna oziębłość. Przypomniał sobie, jak nieraz zwalczał w sobie chęć pocałowania Zuzanny. Była taka delikatna, bał się ją zrazić. Miałby uczucie świętokradztwa.

— Pocałuj mnie, Grant.

Usłuchał prośby zimno, bez entuzjazmu.

— Gertrudo — rzekł — wiesz dobrze, jak kiedyś szalałem za twemi pocałunkami, jak bardzo byłem ich zawsze spragniony.

— Więc to wszystko z powodu tej młodej dziewczyny?

— Tak jest.

Ramiona jej opadły bezradnie, z gestem rozpaczy, twarz zbladła. Była znów pełna smutku i lęku.

— Ona jest jeszcze tak młoda — szeptała. — To jeszcze takie dziecko, Grant. Nie rozumie nawet jeszcze życia. Nie cierpiałaby napewno, gdybyś ją opuścił. A ty... nie zdajesz sobie może sprawy, lecz przecież potrzeba ci czegoś więcej.

— Gertrudo, ja szaleję za nią. Nie mogę na to nic poradzić. Wiem, że nie posiada niepospolitej urody. Jest sobie taką przeciętnie ładną dziewczyną. Lecz jest właśnie sobą. Jej sposób mówienia, patrzenia, śmiania się, jej pełne wdzięku maniery — to wszystko owładnęło tak bezpodzielnie mem sercem, że nie stać mnie już na nic innego.

Gertruda patrzała w niebo z jakimś dziwnym bezwładem. Nagle podniosła się energicznie i wyraziła chęć samotnej przechadzki po statku. Owinęła ramiona gronostajową pelerynką i oddaliła się. Przechodziła kilka razy koło jego fotelu, nie spoglądając wcale w jego stronę.

Zatrzymał ją wreszcie.

— Zmęczysz się, Gertrudo. Weź mnie pod rękę, jeżeli chcesz jeszcze chodzić.

— Masz rację, Grant, zejdę już na dół. Dobranoc, Grant.

Ucałował jej palce i przestraszył się, tak bardzo były zimne. Nalegał, że ją odprowadzi. Kabina jej składała się z małego saloniku, sypialni i łazienki, wysadzanej czarnym i białym marmurem.

— Gościsz mnie z takim luksusem, Grant. Gdybyś mógł znaleźć trochę czułości dla mnie w twem sercu...

— Gertrudo, serce moje jest tak pełne czułości dla ciebie, tak pełne, że nie potrafię nawet ci tego okazać. Widzisz, jestem brutalny, ale to dla tego, że nigdy nie umiałem zapomnieć tych lat, kiedy byłaś dla mnie najcudowniejszą istotą na świecie.

— Ale przecież teraz to już minęło, Grant!

Odwrócił się i odszedł. Nasłuchiwała jego kroków przez jakiś czas. Czekała, aż wróci. Powoli przygotowywała się do snu i z płaczem wcisnęła twarz w poduszki. (D. c. n.).

OBRAZKI SĄDOWE.

ŁZY I USMIECHY

MATKA

Wydział odwoławczy karny.

Komplet: sędziowie Borowski, Kościszewski i Amanowski. Oskarżenie popiera podprokurator Lemkin.

Różne twarze przesuwają się przed sądem.

Twarze występne, twarze zalęknione, twarze ponure i twarze, które udaną pogodą starają się sugerować niewinność — ale oblicze dwudziestoletniej oskarżonej Anny Bantawickiej dziwne, zaiste wywiera wrażenie na tle tej posępnej galerji.

Prosta, szczera, otwarta, chłopska twarz.

Dwadzieścia lat ma oskarżona.

Nie kłamie, nie stara się zapierać: w każdem słowie, w każdem drgnieniu głosu — dźwięczy szczera, smutna prawda.

— Niech oskarżona wszystko opowie.

Dziewczyna płacze.

Płacze, bo dziecko umarło.

Bo kochała swoje dziecko gorąco, a zaniosła je wtedy wczesnym rankiem do lasu, zostawiła pod sosną blisko drogi, opodal sierocińca Rostowice— nie, że chciała zbyć kłopotu wychowania, nie, że czuła wrogość do tego nieślubnego dzieciątka swego, — ale że wychować go nie mogła — że nie starczyło dla niego z tych 50 groszy, jakie za dzień pracy płacono jej na folwarku.

Zaczęła swą opowieść od tego, jak pewnego dnia, pracując w polu, zasłabła. Przewieziona do szpitala w Warszawie, powiła dziecko żywe i zdrowe.

Ani razu nazwiska ojca nie wspomniała.

Nie istniał ów mężczyzna w procesie. nie istniał poza ową chwilą poczęcia — i w życiu.

Nie pomógł dziewczynie.

Po wyjściu ze szpitala poszła pracować .

Ale trudno o pracę, z płaczącem dzieckiem na ręku.

Znalazła wreszcie.

Pięćdziesiąt groszy dziennie płacił gospodarz. Jakże tu dziecię wyżywić i wychować?

Chodziła do obcych ludzi, prosiła, żeby wzięli, żeby odchowali trochę, że zarobi i odda — zapłaci...

Nic.

Żądali zapłaty odrazu.

— No jakże było mi płacić z tych 50-ciu groszy, panie sędzio?

Męczyła się dziewczyna, męczyła, bo i gospodarz ją prześladował: groził, że przepędzi, że to zbyt się dzieckiem zajmuje, — źli ludzie wokół dokuczali — że panna, a z dzieckiem chodzi...

— Aż wreszcie...

A kiedy ułożyła już dziecię pod drzewem przy drodze, ucałowała po raz ostatni, kiedy przeżegnała je na rozstanie i ubiegła połowę drogi — zawróciła znowu.

Nie mogła się rozstać ze swem ukochaniem.

Dwa razy wracała z drogi, aż wreszcie z płaczem wielkim do wsi pobiegła.

I w tym samym czasie, kiedy w kinie dźwiękowem w Warszawie oglądamy i słyszymy rozkoszne dzieciaki we wzorowym sierocińcu na Hawanie, gdzie wystarczy niemowlę do specjalnej wnęki w murze sierocińca włożyć, by siostry zakonne zaopiekowały się niem czule i troskliwie, — w tym samym czasie odpowiadała Anna Bantawicka przed sądem, oskarżona z artykułu 490 kodeksu karnego.

Płacze matka, bo dziecko umarło. Przeziębiło się w przytułku i teraz go już więcej napewno nie zobaczy...

Łagodny był wyrok.

Jeden miesiąc aresztu z zawieszeniem wykonania kary na 2 lata.

SPRYCIARZ.

Innego dnia — w tym samym wydziale odwoławczym.

Z cyklu „Humorystów".

Spryciarz.

Spryciarz chodził niegdyś do szkoły.

Spryciarz miał kolegów.

Spryciarz z kolegami często grywał w kukso.

To nic.

Często płatał kawały nauczycielom.

To też nic.

Często wędził jabłka ze straganu.

To też jeszcze nic.

I często... pluł.

I to już — coś.

Znacie tę grę? — Kto dalej plunie.

Pysznie się pluje, jak brak jednego z przednich zębów.

Artystycznie i daleko.

I Spryciarz nauczył się pluć w szkole.

Niczego się więcej nie nauczył coprawda, bo wskutek pewnych nieporozumień, natury ściśle prywatnej, opuścił niegościnne mury, ale postanowił nie marnować przyrodzonych zdolności.

I nie zmarnował.

Pluł w dalszym ciągu.

Ruch i gwar. Pośpiech, ścisk. Ten do biura, ten z biura, na spacer, na randkę.

Ulica.

Warszawska Yvette pędzi na randkę.

Szary lisek otula szyjkę i sięga zadartego noska, a lekko uczernione oczy śmieją się na myśl o bliskiem spotkaniu.

Pod pachą — torebka.

Spryciarz widzi Yvette.

Spryciarz wie, co robić.

Spryciarz jest dobrym psychologiem.

Splunął.

— Co takiego!?!?

Yvette zaczerwieniła się z oburzenia.

Na nowy kołnierz! Na ślicznego liska!

Brutal!

— Najmocniej panią przepraszam!

Spryciarz już się uwija dokoła Yvette.

Już wyciąga swą jedwabną chustkę.

Już wyciera kołnierz Yvette: jest grzeczny i szarmancki nie do opisania.

— Łapaj złodzieja!

Krzyk, zamieszanie, awantura.

— Tyle hałasu o jedną torebkę — pomyślał Spryciarz, ale jednak wziął nogi za pas.

Że jednak lepiej pluł, aniżeli biegał, więc go złapali.

Cztery miesiące więzienia.

Wyobrażam sobie, jak wygląda sufit celi, w której siedzi Spryciarz...

I. E.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZADANIE KONIKOWE

Szóste i ostatnie zadanie konkursowe.

		o	y		
n	e	o	i	a	t
n	d	l	w	w	c
j	i	e	k	e	n
o	p	t	o	y	e
y	k	r	j	e	m

Obejść powyższą figurę ruchem konika (skoczka szachowego), stając na każdem polu tylko jeden raz tak, aby otrzymała się treść, dotycząca ostatnich zdobyczy kosmografji.

NADSYŁANIE ROZWIĄZAŃ.

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że wszystkie rozwiązania zadań konkursowych można nadesłać razem. Należy obowiązkowo dołączyć wszystkie sześć kuponów z sześciu kolejnych N-rów „7 Dni". Listy winny być w kopertach i zapieczętowane. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 13-go kwietnia b. r.

KONKURS ROZWIĄZAŃ „7 DNI"

KUPON Nr. 6 (z Nr. 14)

Nazwisko i imię.............................

....

Adres ....

....

KRZYŻÓWKA SYLABOWA.

(poza konkursem).

Za rozwiązanie 3 książki do rozlosowania. Termin 10-dniowy.

1		2	3	■
	■	4		5
6	7			
8		■		■

ZNACZENIE SŁÓW

Wyrazy pionowe

1. Zabarwienia.
2. Mówili podług tekstu.
3. Nawleczony na nitkę.
5. Naród.
7. Inaczej szańce lub tamy.

Wyrazy poziome.

1. Roślina pożyteczna.
4. Trucizna.
5. Współzawodnictwo.
8. Miejsce za armją, za frontem.

KRONIKA SZACHOWA

Turniej o puhar Narodów.

Jak wiadomo w lipcu b. r. odbędzie się w Hamburgu międzynarodowy turniej szachowy drużyn o mistrzostwo świata. W turnieju tym weźmie udział również reprezentacja Polski w składzie pięciu szachistów. Wchodzą w rachubę następujący mistrzowie: Rubinstejn, Tartakower, Przepiórka, Makarczyk, Regedziński, Frydman, Kohn, Chwojnik i Blass.

Turniej o mistrzostwo Warszawy

ma się rozpocząć niebawem.

Turniej o mistrzostwo Łodzi

Na pierwsze miejsce w zdecydowany sposób wysunął się Kolski przed Applem i Regedzińskim. Kolski nie przegrał dotychczas ani jednej partji.

WIKTOR PRZECŁAWSKI.

Kraj, z którego niemasz wygnania

Pewien starzec, który dla naprawdę suchego kawałka chleba ciężko musiał pracować, i ostatnie swe lata przeżywał w samotnej, ciężkiej niedoli, miał jednak na czole przedziwną pogodę i na zwiędłych ustach uśmiech, pełen tajemniczej radości. Ktoś, kto się nim szczerze interesował i szczerze chciał mu dopomóc, zapytał wreszcie o powód tej radości.

— Proszę pana — odparł stary człowiek — schodzę coraz szybciej do grobu, już mam niedaleko. Ale idę z uśmiechem. Bo niedola moja nauczyła mnie przebywać myślą w krainie, z której niemasz wygnania. To kraina najlepszych, najczystszych, najświętszych wspomnień. Kraina wspomnień dziecinnych.

Dzieciństwo i młodość! Ach, wszyscy przecież byliśmy młodymi! Wszyscy znamy i pamiętamy ten czar beztroski, który nas wtedy otaczał, a który dziś, we wspomnieniach, jest jeszcze wspanialszy, jeszcze cudowniejszy! Jakto było dobrze, jakto było „bosko", kiedy się wczesnym rankiem wędrowało przez puste ulice, z tornistrem na plecach, z śniadaniem w kieszeni, a z figlami w głowie! Niedawno się czytało wszystkie dzieła Karola Maya, wszystkie istniejące opowiadania „indyjskie" i „wojenne", wszystkie dozwolone i zakazane książki! Dziecinno-młodzieńcza, swawolna fantazja, która tak szybko i najzupełniej umie zapomnieć o rzeczywistości, stwarzała codzień inne życie, codzień inne światy i przygody, jakby jedno pasmo nigdy niespisanych bajek, których dekoracje zmieniały się szybciej niż chmury na niebie! Co w tem życiu lekkiem, powiewnem, czystem było poważne i ważne? Ach, chyba wszystko, wszystko i nic! Tragiczne zdarzenie w szkole, które często łzy obfite wyciskało z oczu i boleśnie raniło ambicję, szło w niepamięć zaraz po obiedzie wobec zapowiedzianej „wielkiej ofensywy Czarnego Orła" lub nowego „napadu Moskali na okopy



dyktatora"! Co tam lekcje! „Wykuje się" wieczorem! Aby tylko przejść do klasy następnej, zaś za szumnym tytułem „primusa" gonić doprawdy nie warto! Przecież wiadomo powszechnie, że ci wychwalani primusi to przeważnie „synkowie mamusi", z których później niema żadnej pociechy, bo są „fajtłapy" i basta!

A wieczorem ważna była lekcja. Cało-popołudniowa przewspaniała bitwa już odeszła w mrok niepowrotnej przeszłości. Mama z czułością i niepokojem wypytuje o nowe guzy na czole, a tatuś z marsem na chmurnem obliczu gwałtownie domaga się lekcji. Przeto lekcja jest ważna. Przeto każda chwila jest ważna. Żyło się chwilę, ale żyło się całym sobą. Przeszłość jeszcze nie istniała, przyszłość nie była zagadnieniem, naprawdę istniało tylko *codzień nowe dziś.*

A to dziś było zajmujące .Nawet w szkole. Wprawdzie wszyscy kochaliśmy szczerze, a często i namiętnie, ogród, las, pole, swobodę, słońce i powietrze, a nie duszną izbę i ciepły piec, ale przecież zdarzył się i dobry profesor i zajmujący przed-



miot, i zgoda ze szkołą była możliwa. Zresztą umożliwiały ten nudny pobyt w szkole zgoła nie nudne pomysły dowcipów, które zazwyczaj stosowały się do pór roku. Co innego jesienią, a co innego zimą! Pewien poważny dzisiaj uczony dostaje ataków homerycznego śmiechu, na wspomnienie „olbrzymiej kuli śnieżnej", która „bardzo umiejętnie" przylepiona została do sufitu ponad katedrą i „jeszcze umiejętniej" skraplała łysinę starego matematyka! Kornel Makuszyński o latach dziecinnych prześliczny tom napisał, a któż z nas nie zachwycał się „Niebieskim mundurkiem" Gomulickiego?

Znam dzieje pewnej ankiety, przeprowadzonej wśród młodzieży niższych klas gimnazjalnych. Zadano jej wtedy dwa proste pytania: 1) Jakich wartości w życiu bronić powinieneś do upadłego? 2) Co uważasz za wielką wartość swego prywatnego życia?

Olbrzymia, przytłaczająca większość odpowiedzi brzmiała jednomyślnie: 1) Honor i ojczyzna. Życie ojczyźnie, honor nikomu. 2) Przyjaźń.

Powiecie: romantyzm! Nie, to nie romantyzm, to najszczersze wyznanie czystej, ufajacej ludziom i światu, młodości! A choć później zieloność gałązek zwarzy wicher srogi, choć legną w pyle i w prochu życia dziecinnych snów bogi, pozostanie przecie przemożny czar wspomnienia, który niejednego honor uratował!

*

Ale są i inne przepiękne wspomnienia. Był przecie taki dzień, taki dziwny, niezapomniany dzień, w którym czułeś się już „mężczyzną" (np. siedmnastoletnim) i z dumą mówiłeś do przyjaciela:

— Wiesz, muszę iść się ogolić! Mam dziś randkę z Zosią X.

A przyjaciel, zależnie od humoru, albo „złośliwie" badał twoją twarz i stwierdzał, że „niema czego golić", zaś Zosię X. uważał za „smarkatą", która „wogóle jeszcze nie kapuje", — albo też zapytywał poważnie:

— Kochasz ją?

Ty zaś odpowiadałeś: — Nad życie!

— Życzę ci szczęścia!

I może naprawdę najszczerszem szczęściem był ten pierwszy, nieśmiały pocałunek, w którym nie było jeszcze ani żaru namiętności, ani złej myśli i grzechu, a była budząca się wiosna, i najdziwniejszy, bo po raz pierwszy przeżywany czar.

Czy nie pamiętasz np., przyjacielu, jak z pierwszą swoją miłością „rączka w rączkę" wędrowałeś „ w upojenia" ustronną aleją parku, i nagle, na zakręcie, spotkałeś się „oko w oko" ze starą, surową ciotką, która w dodatku była starą panną i niezdobytą twierdzą niezłomnej cnoty? Nibyto pomyślnie zwiałeś, ale do późnego wieczora dręczyło cię pytanie: poznała mnie, jędza, czy nie? No, i oczywiście, poznała! Takaby nie poznała! I następowała rozmowa z rodzicami, bardzo długa i bardzo poważna. Zazwyczaj twierdziłeś, że się ożenisz, bo to jest twój ideał! Ale, przyjacielu, wiele razy ci się to zdarzyło?

Albo, np. — dla odmiany — pierwszy papieros. Poczęstował cię przyjaciel jakimś znakomitym „mocnym" („ojciec mój pali je od lat dwudziestu"), zapaliliście, i dumnym krokiem kroczycie poważnie. Palisz. Zaciągasz się. Czynisz to z przejęciem i bez pośpiechu, no, i jest jakoś niedobrze. „Psiakość, chyba za dużo zjadłem na obiad!"

A djabli, oczywiście, „nadali" kolegów. Śmiech! I potem te wesołe zapytanie w klasie:

— Słuchajno, ty, ‚którą klasą jechałeś do Rygi?

*

Dzisiejsza młodzież jest szczęśliwa. Ma niepodległą ojczyznę, polską szkołę, beztroskie o przyszłość ojczyzny myśli. Lecz my zato, my starsi, mamy porywające wspomnienia walki, którą zaczynaliśmy wcześnie, jeszcze na ławie gimnazjalnej. W mrokach konspiracji ukryci czuwali wodzowie, z których dziś niejeden jest jenerałem naszej armji. Tworzyliśmy w szkołach związki i kółka, które systematycznie, mądrze i uczciwie przygotowywały młodzież do zbrojnego czynu. I niejeden z nas, zapytany, które ze wspomnień młodości naj-



wyżej ceni i najszczerzej kocha, bez chwili namysłu odpowie:

— Byłem w klasie siódmej. Należałem do kółka. I oto pewnego dnia wezwano mnie, wtajemniczono we właściwe cele! Złożyłem przysięgę! Jakiż wicher porywa w piersi, jaki żar we krwi, jaka siła w sercu! Czyż może być piękniejsze wspomnienie?

Wśród książek

Generał Camon — Zwycięski manewr Marszałka Piłsudskiego przeciw bolszewikom — Sierpień 1920 — Studjum strategiczne, z francuskiego przełożył major dr. Józef Andrzej Teslar — Warszawa 1930 — Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy. Str. 113 + 8 ulb.

Generał Camon, wybitny i zasłużony pisarz wojskowy francuski, od wielu lat poświęcający się specjalnie zgłębianiu i oświetlaniu taktyki napoleońskiej, zainteresował się również kampanją polsko-bolszewicką. Za główne działanie tej wojny uważa generał Camon manewr marszałka Piłsudskiego, prowadzony w stylu napoleońskim, a polegający na uderzeniu znikomemi siłami na tyły armij bolszewickich w chwili, gdy te usiłowały opanować przedmieście Warszawy. Owocem zainteresowań generała Camona jest właśnie książka niniejsza, która zajmie każdego, chociaż jest poważnem studjum strategicznem. Dzieli się ona na dwie części, z których pierwsza podaje historję manewru Marszałka, rozpatrując rzecz wyłącznie ze stanowiska strategicznego, druga zaś poświęcona została krytyce tego manewru w celu wyciągnięcia z niego pouczających wniosków. Camon dochodzi do ostatecznego wniosku, że rozpatrywany przezeń zwycięski manewr Marszałka ocalił Warszawę i Polskę.

Może ta interesująca książka, rzucająca na wypadki sierpniowe 1920 r. snop światła prawdy historycznej, opartej na spokojnej i autorytatywnej analizie krytyczno-porównawczej, przyczyni się nareszcie do usunięcia mnóstwa nieporozumień i opinij sprzecznych, dotyczących właśnie tak nazwanej bitwy warszawskiej.

Wł. Baliński. Propaganda, jej metody i znaczenie. Warszawa, 1930. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. 155 + 8 ulb.

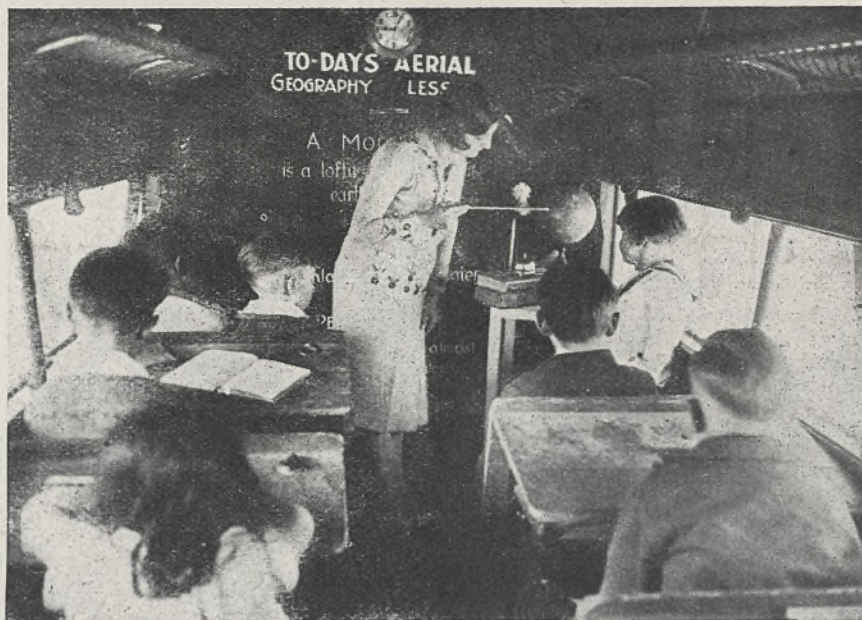
Czem jest propaganda w życiu społecznem? Jest poprostu czynnem oddziaływaniem na nie. To też każdy naród organizuje swą propagandę w miarę swych sił i umiejętności.

Cenna praca p. Balińskiego wypełnia niewątpliwie ogromną lukę, przynoszac szereg uwag i wskazań. bardzo przydatnych praktykom naszym początkującym i mniej doświadczonym. Jest-to zarys propagandy stosowanej, a znaleść się powinien przedewszystkiem w rękach tych, którzy przyczynić się pragną do popularyzacji wielkich idei, i do skutecznego uświadamiania naszego społeczeństwa o zjawiskach natury publicznej.

Dziełko, podzielone na szereg rozdziałów, z których każdy porusza inny szczegół zagadnienia, zaleca się zwięzłością i przejrzystością wykładu, i niewątpliwie jest zwycięskiem wypełnieniem zadania, jakie sobie autor postawił. Nie wątpimy, że znajdzie się ono w tych wszystkich instytucjach i w rękach tych ludzi, którzy znaczenie propagandy rozumieć, a metody jej znać powinni.

Wiktor Przecławski.

TO, TAMTO I OWO



W Los Angelos nauka geografji odbywa się w sposób najbardziej nowoczesny. Zainstalowana szkoła na samolocie pozwala dzieciom obserwować rzeźbę terenu, opisywanego przez nauczycielkę.

TRZYPIĘTROWY KOŚCIÓŁ.

Na jednem z przedmieść Kolonji budują obecnie kościół protestancki, który mieć będzie trzy piętra. Na pierwszem piętrze znajdować się będzie sala gimnastyczna, na drugiem sala posiedzeń dla patronatu, na trzeciem zaś dopiero właściwa świątynia, podzielona na dwie części. W jednej odprawiane będą nabożeństwa, a w drugiej odbywać się będą uroczystości chrzcin, ślubów i innych obrządków.

Na piętra wiodą szerokie schody. Kościół ten, cały zbudowany z betonu, posiadać będzie wysoką dzwonnicę, również niezwykłej konstrukcji.

STULECIE WHALHALLA.

Wspaniała świątynia, w stylu gotyckim, wzniesiona w pobliżu Ratisbonne (Austrja), by uczcić sławnych Niemców, święci tego roku stulecie powstania.

W dniu 18 października, w rocznicę bitwy pod Lipskiem, został położony uroczyście kamień węgielny pod budynek, przez króla bawarskiego Ludwika I-go, architektem był Leo von Klenze. Kamień ten zawiera plan i przekrój świątyni, portret króla, malowany na porcelanie i trzy talary bawarskie ,które były w obiegu w tej epoce.

RADJO-TEATR W MADRYCIE.

W najbliższym czasie ma powstać w Madrycie zupełnie nowożytny teatr, tórego repertuar obejmie pewną ilość utworów scenicznych, przeznaczonych dla transmisji przez radjo. W związku z tą inowacją teatr madrycki będzie posiadał specjalne warunki akustyczne, których nie posiadają teatry, budowane przed wynalezieniem radja, a racjonalna instalacja mikrofonów i aparatury amplifikacyjnej zapewni jakość transmisyj pod względem technicznym. Produkcje tej oryginalnej sceny przeznaczone są zarówno dla radjoodbiorców, jak i dla publiczności zgromadzonej na widowni. Typ takiego mieszanego teatru przedstawiałby się na Zachodzie pod niejednym względem interesująco: połączenie bowiem słuchaczów i widózw w jedną, radjoteatralną publiczność musiałoby położyć kres antagonizmom studja i sceny, dałoby impuls do wzmożonej twórczości dramatycznej, będącej już nie twórczością dla radja, lecz służeniem sprawie nowoczesnego teatru.





ZOFJA DROMLEWICZOWA.

ENCYKLOPEDJA FILMOWA

S.

STRYJ.

Stryj jest bogaty, chudy i kościsty. Charakter ma zły. Odznacza się skąpstwem i zawziętością. W domu jego straszy. Posiada wielkiego psa, napadającego na niespodziewanych gości i gospodynię o niesamowitej twarzy. Bogaty stryj zawsze umiera, lecz przed śmiercią spędza długie, samotne godziny nad testamentem, układając klauzule, w których umieszcza złośliwość całego swego życia, potem umiera, radując się myślą o kłopotach, jakie sprawił swoim spadkobiercom. Spadkobiercy martwią się naprawdę. Bogaty stryj bowiem, zapisując majątek, żąda od młodej panienki, aby w ciągu tygodnia wykazała się licznem potomstwem, od zakochanego męża, aby się rozwiódł i ożenił z jego gospodynią i t. p.

Niekiedy zaś wydziedzicza zupełnie prawowitego spadkobiercę, a wykonawcom testamentu każe o północy czatować na odludnej ulicy i pierwszemu napotkanemu człowiekowi, który zaśpiewa wymienioną w testamencie piosenkę, oddać cały majątek. Nie dość na tem. Bogaty stryj przychodzi jeszcze po śmierci w postaci ducha i straszy całą rodzinę.





fot. Petel. i Paramount.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 72-85 i 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)
Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.